№ 49. Warszawa, dnia 25 Listopada (7 Grudnia) 1878 roku

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztowa złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w pierwszym kwartale 1879 r. wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie	**rs. 5**
Rocznie	**rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 1.**
Półrocznie	**rs. 2.**
Rocznie	**rs. 4.**

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swej użyteczności, zrobić przystępną dla każdej rodziny.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie** *ulica Chmielna Nr. 1530 (20 nowy).*

Tygodnik Rolniczy, pismo wszystkim gałęziom rolnictwa poświęcone, którego celem jest popularyzowanie nauki rolniczej, zaznaczanie wszelkiego postępu w produkcyi rolniczej i zwierzęcej, jak niemniej zaznajamianie ogółu ze stanem ekonomicznym kraju. W kwartale I roku 1879 wychodzić będzie pod temiż co dotąd warunkami.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK ROLNICZY

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 20**

Półrocznie	**„ 2 „ 40**
Rocznie	**„ 4 „ 80**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 1 kop. 50**
Półrocznie	**„ 3 „ —**
Rocznie	**„ 6 „ —**

Przesyłając pieniądze prosimy adresować: do *Redakcyi Tygodnika Rolniczego w Warszawie ulica Chmielna N. 20.*

JAN-BOSY.

DRAMAT W CZTERECH AKTACH

PRZEZ

A. Delpit.

Wolny przekład z francuzkiego oryginału wierszem.

przez

Joannę Belejowską.

(Dalszy ciąg).

AKT III.

Polanka w Wandei. Krajobraz o zmroku. W dali namioty. Na lewo gęsty las ciągnący się w dal.

Scena I.

Żołnierze grają. **Oficerowie** siedzą pod drzewami. Na przodzie sceny **Hieronim**, **Arystydes** i **Cydaliza** w ubiorze markietanki. Kortyna się podnosi gdy Cydaliza śpiewa ostanią śpiewkę, Oficerowie przyklaskują.

Cydaliza (śpiewa).

Hej! żołnierzu, idź do boju
Rzuć minę żałosną,
Idź ochoczo, jak w spokoju,
Na schadzkę miłosną.
A jeżeli piękność twoja,
Zbyt dla ciebie sroga.
Słuchaj taka rada moja,
Zdobądź ją jak wroga.

Wszyscy. Brawo! brawo!
Cydaliza. Dziękuję. (kłania się).
Hieronim. No cóż, Cydalizo, podobała ci się Bretania?

Cydaliza. Niekoniecznie; niebo pochmurne...

Arystydes. Kule ciągle gwiżdżą za uszami.

Hieronim. A to mi wojna jakich mało! trzeba strzedz każdej ścieżyny, każdego krzaku, bo każdéj chwili wyrasta jakby z pod ziemi strzelec uzbrojony od stóp do głów.

Arystydes. To nie bardzo miłe.

Hieronim. I nawet ślady ich stóp nie pozostają na gruncie, nikną bez znaku jak przelot ptaka nad krzewiną. (Bierzę w pół Cydalizę) Ale co tam! bawmy się i kochajmy!...

Cydaliza (usuwając się). Jeszcze!

Hieronim. Patrz, Arystydesie jak jéj do twarzy gdy się gniewa!

Arystydes. Szczęśliwy małżonek!

Cydaliza. Zaraz go przedstawię. (Zwraca się ku żołnierzom i daje znak, sierżant jeden się wysuwa). Oto mój narzeczony!...

Hieronim. Co ten wielki drągal?...

Cydaliza (kłaniając się). Sierżant Kalafiorek. (Hieronim i Arystydes wybuchają głośnym śmiechem). Śmiejcie się! to nowy kalendarz tak go dziwnie ochrzcił. Urodził się w dzień św. Anastazego, ale że obecnie pokasowano wszystkich świętych, więc nawet tym co już byli ochrzczeni poodmieniano imiona; nie mając patronów w niebie, szukają ich w płodach ziemi, a że ojciec mego przyszłego był ogrodnikiem, więc nazwał syna Kalafiorkiem—i oto powód iż zdaje się że nie zaślubiam człowieka ale ogrodową jarzynę. (Do Kalafiorka) Możesz odejść! (Sierżant odchodzi nic nie mówiąc).

Arystydes. Hum! doskonale wytresowany.

Cydaliza (do Hieronima który ją trzyma za rękę). Puść mnie pan, już późno.

Hieronim. Nie pilno mi.

Cydaliza. Ale ja się śpieszę; słyszysz pan już bębnią, trzeba przygotować jadło.

(Słychać odgłos bębna).

Oficer. Do szeregu! (Żołnierze szykują się).

Arystydes (do Hieronima). Idziesz ze mną?

Hieronim. Nie, czekam na siostrę.

(Wszyscy wychodzą prócz Hieronima; Fernanda wychodzi z chaty).

Scena II.

Hieronim, Fernanda.

Hieronim. Cóż, widziałaś się z Janem?

Fernanda. Tak, dziś rano.

Hieronim. Jakże? mów prędzéj.

Fernanda. Zrzeka się mojéj ręki.

Hieronim. Czy być może?

Fernanda. Tak jest; przemówił do mnie w sposób zdradzający najszlachetniejsze serce. Miłość moja, rzekł mi, byłaby ci zaporą do szczęścia; jesteś wolną!

Hieronim. Więc już jesteś spokojna?

Fernanda. Nie, bracie, jestem w rozpaczy.

Hieronim. Cóż się stało?

Fernanda. Dziś przededniem wyszłam z obozu, i byłam właśnie o kilka kroków stąd na polance, w tem coś poruszyło się w krzaku i ujrzałam...

Hieronim. Szuana!... Nierozważna! czyż nie wiesz...

Fernanda. Chciałam uciekać; przytrzymał mnie za rękę; „Czytaj“ rzekł, oddając list i znikł w jednéj chwili.

Hieronim. List!... od kogóż?

Fernanda. Od Henryka de Kardigan!... Oto co mi pisze: (Czyta) „Wiem że ojciec twój przybył do Wandei; nie mogę oprzeć się żądzy zawiadomienia cię że jestem blisko ciebie; ale, niestety! dziś większa jak kiedykolwiek przepaść nas rozdziela!...

Hieronim. On szuanem!... Wszak byłaś pewną że opuścił Francyą?

Fernanda. Widać pozostał... O nieba! jest nieprzyjacielem mego ojca... brata... będziecie walczyć z sobą, i niestety! może...

Głos za sceną. Kto idzie?

Hieronim. Ojciec nadchodzi; wejdź do chaty i unikaj teraz spotkania.

Fernanda. Dobrze.

Hieronim. Kiedyż Jan miał z nim mówić?

Fernanda. Dziś wieczorem.

Hieronim. Wejdź prędko! (Podprowadza ją do chaty). Biedna moja siostra!

(Hévrard z Janem ukazują się w głębi).

Scena III.

Hévrard, Jan, Hieronim.

Hévrard. Hieronimie, jenerał wysłał żołnierzy dla przejrzenia lasu; niech mi dadzą znać natychmiast jak wrócą.

Hieronim. Spełnię rozkaz. (Wychodzi).

Scena IV.

Hévrard, Jan.

Hévrard. A więc to stanowcze postanowienie, więc pomimo że kochasz Fernandę i ja chętnie daję ci ją za żonę, odmawiasz jej ręki?

Jan. Wybacz, zmuszony jestem tak postąpić, ona mnie nie kocha!

Hévrard. Czyż ukrywałem to przed tobą? Wiedziałeś o tem a jednak odpowiedziałeś mi że potrafisz zdobyć szczęście co przed tobą ucieka; a dziś wracasz mi słowo?...

Jan. Fernanda mnie nie kocha!

Hévrard. Skądże pewność żeby cię nie pokochała zostawszy żoną twoją? Czyż sądzisz że ma serce kamienne? Zrywasz zobowiązanie, ale czytam w twéj duszy jak strasznie na tem cierpisz.

Jan. Nie zaprzeczam że straszną walkę staczam z sercem mojem, ale cóż pocznę... ona mnie nie kocha!

Hévrard. Powoli zapomniałaby o tym którego dziś nad ciebie przekłada.

Jan. Nie! zawsze pozostałoby jego wspomnienie... a jakaż to trudna z niem walka!... Walczyć i walczyć nieustannie z niewidzialnym rywalem! mieć w domowem ognisku za towarzyszkę życia kobietę z dumnem i wyniosłém czołem, z tak zimném spojrzeniem, jakby z niego wszelka myśl odbiegła... Cierpiéć i cierpiéć całe tygodnie i miesiące, czekając aż nareszcie ta kobieta zechce choć raz jeden przymuszonym uśmiechem opłacić poświęcenie nienawistnego męża... nie! jabym nie zdołał przenieść takiej męczarni!... Niech się więc spełni klątwa ciężąca nad losem moim! Nie mów o tem co mi przecierpiéć przyjdzie—nie brak mi sposobności do zapomnienia o tem... Znajdę je w niebezpieczeństwach walki... zapomnę o wszystkiem przedzierając się przez szeregi nieprzyjaciół otaczających nas do koła... zapomnę wśród odgłosu, trąb i bębnów uderzających wojenną pobudkę—zapomnę myśląc o ojczyźnie którą ratować trzeba...

Scena V.

Ciż, Hieronim.

Hieronim. Jenerale! jenerale!

Hévrard. Cóż tam?

Jan. Czego żądasz?

Hieronim. Porucznik Raymon powrócił.

Jan. Jest tutaj?

Hieronim. Tak, odbył rekonesans.

Hévrard. Niech przyjdzie.

(Noc zapada powoli).

Scena VI.

Ciż. Porucznik Raymon, prowadzi za rękę wieśniaka, **Oficerowie Sztabu głównego, Żołnierze** z pochodniami, **Cydaliza** i inne markietanki.

Hieronim. Oto porucznik Raymon, jenerale.

Jan. Nieobecność twoja poruczniku, niedługo trwała.

Raymon. Zdrów i cały powracam i udało mi się...

Hévrard. Zasięgnąć wiadomości?

Jan. Cóż takiego?

Raymon (popychając wieśniaka). Zbliż się mój kochany.

Wieśniak. Kiedy ja nie śmiem.

Raymon. To chłopak z poblizkiego miasteczka, dobry patryota, który wiele objaśnień dać może.

Hévrard (ściskając dłoń wieśniaka). Mów, przyjacielu.

Wieśniak. A jakże, wszak to moja powinność... tylko że... tamci mnie zabiją.

Hévrard. Czy się ich boisz?

Wieśniak. Co ja miałbym się bać! nie godzi się tak mi mówić!... tylko moi panowie przysięgnijcie, proszę, że jeźli mnie zabiją, żona moja i dzieciak nie pozostaną w nędzy.

Hévrard. Bądź spokojny, rzeczpospolita przyjmie ich za swe dzieci, przysięgam ci na to!

Jan. I ja przysięgam!

Wieśniak. Otóż tedy, o dwie mil ztąd, pod lasem, stoi zamek des Chênes, do którego tylko wązkiemi ścieżynami dostać się można... tam znajduje się dziesięciu dowódzców Wandejskich...

Hévrard. Wandejczycy tak blizko!...

Wieśniak. Cały orszak liczy dwiestu ludzi... Przybyli tam wczoraj, a że nie zważali na mnie, mogłem policzyć i przypatrzéć im się dobrze. Są tam najznakomitsi ich dowódzcy.

Jan. Nie chcesz pieniędzy, przyjacielu pięknie to z twéj strony, ale skoro jesteś tak dobrym patryotą, czy przez miłość dla ojczyzny nie chciałbyś służyć nam za przewodnika?

Wieśniak. I owszem.

Hévrard. Jenerale, chciałbym pomówić z tobą.

Jan. Poruczniku, dosiądź konia, i wydaj rozkaz aby trzy oddziały były gotowe do wymarszu; oprócz tego niech dwie zbrojne kolumny czekają na mój rozkaz. Teraz oddalcie się na chwilę, obywatele ale nie odchodźcie.

(Idą w głąb sceny, Jan i Hévrard pozostają na przodzie).

Hévrard. Ach! pochwycić im dziesięciu naczelników!...

Jan. Świetnym tryumfem rozpoczęlibyśmy wojnę.

Hévrard Jest ich tylko dwiestu.

Jan. Liczba nic nie znaczy. Nie znasz ich, Hévrardzie, odważni jak lwy; chcąc się dostać do Chênes, połowa naszych padnie.

Hévrard. Idą więc jak na stracenie.

Jan. Awangarda będzie nas osłaniać.

Hévrard. Komuż powierzymy dowództwo?

Hieronim (nadbiegając). Mnie, mój ojcze!

Hévrard. Och!

Jan. Tobie!

Hévrard. Nieszczęsny! chcesz iść zginąć!

Hieronim. Chcę walczyć za Francyą! Nieraz mówiłeś, ojcze, że aby była silną i potężną, trzeba żeby na głos jéj każdy gotów był ponieść życie w ofierze... dziś los nastręcza mi tę sposobność... (do Jana) Jakże, jenerale?

Hévrard (wahająco). Ach!

Jan (do Hévrarda). Cóż postanowiłeś...

Hévrard (po chwili milczenia). Czy zechcesz dowództwo powierzyć Hieronimowi?

Jan. Synowi twemu?... ależ wiesz...

Hévrard. Wiem że on jest żołnierzem. Czy powierzysz mu dowództwo awangardy?

Jan. Jemu?

Hévrard Wiem że każdy z jego kolegów równie dobrze wywiązałby się z tego obowiązku, ale pragnę bardzo abyś jemu oddał dowództwo.

Jan. Dobrze, kapitanie.

Hieronim. Dziękuję, jenerale.

Jan. Stanowisko jakie macie zająć jest nader niebezpieczne...

Hieronim. Tam do licha, tak uroczyście przemawiasz, jenerale!...

Jan. Bo może ani jeden z was nie wróci.

Hieronim. Mocno jestem, obowiązany; jenerale że z góry dajesz mi poznać czekające nas przyjemności, a przeczuwam że nam ich nie zbraknie... No! jakoś to będzie! O której wymarsz?

Jan. O północy.

Hieronim. Wyborna godzina!... prawda i to że zawsze najlepsza ta w której rozpoczynamy walkę... Hasło?

Jan. Dowiesz się jak będzie wydane.

(Hieronim chce wychodzić, Hévrard go zatrzymuje).

Hévrard. Synu mój! uściskaj mnie!... Żołnierzu spełń twoją powinność!

Cydaliza (cicho). Szkoda chłopca!

Hieronim (do oficerów). Żegnam was, koledzy! wiem że każdy z was chętnie wyrzekłby się szlif i prostym został żołnierzem, gdyby mógł zająć moje miejsce... ale darujcie mi, przyjaciele, żem korzystał z moich stosunków. Widać intrygi i protekcye nigdy nie ustaną, skoro ojciec mój zaprotegował mnie do jenerała... abym dostał, ten awans!...

Cydaliza (rzuca mu się na szyję). Teraz ja pierwsza chcę cię uściskać.

Hieronim. A! przecież zdobyłem twoje serce. No trochę za późno... skoro tam idę... ale jeżeli wrócę!...

(Odchodzi).

Jan (do Hévrarda). I mogłeś pozwolić?...

Hévrard. Czy awangarda przyniesie nam zwycięztwo czy klęskę trzeba aby syn mój nią dowodził, bo gdy on pierwszy narazi się na niebezpieczeństwo, wszyscy żołnierze bez wahania pójdą za nim.

(Ściskają się za ręce).

Jan (do oficerów). Koledzy! ruszamy za godzinę!

Hévrard. Tymczasem, Janie, spocznij trochę pod namiotem; sam ci dam znać gdy żołnierze będą gotowi do wymarszu. Od dwóch dni nie znasz chwili spoczynku, (Do oficerów) Obywatele, bądźcie gotowi na wezwanie!

(Wszyscy wychodzą, Jan zostaje sam, na scenie robi się zupełnie ciemno).

(d. c. n).

WIECZORNICE.

(obrazek litewski).

Ej żyło się kiedyś i dobrze się żyło,
Kochało się kiedyś, śpiewało, marzyło;
A było to dawno, o! dawno—za młodu,
W swem siole, pomiędzy gromadą narodu.
Bywało wieczorem, gdy zejdziem gromadnie
Do ciotki staruszki, to zawsze tak składnie
Ułoży się piosnka, zagadka, lub skazka,
Że prawim i prawim, a słuchaj gdy łaska.
Chłopacyśmy byli, trza wiedzieć że zuchy,
Okrasa okolic: a cudo dziewuchy;
A czasyż to były, aż wspomnieć wesoło,
Nie było wieczornic nad nasze w około!
Tam wówczas dziewczęta gdy przy nas usiędą,
To furczą wrzeciona i nitki się przędą;
Gwar szumny w świetlicy, wesoła czereda
Już kiedy zahula, to starym spać nie da:
Baj baju dokoła—i poszły gawędy:
Wieczory to były czekając Kolędy.

I staruszka nasza miła,
Często sama nam prawiła,
O dawniejszym obyczaju
Staréj szlachty w naszym kraju:
O magnatach, o ich dworach,
O honorach, o ubiorach,
O młodzieży w owym czasie
Przed którąby nam a zasię!
Stara prawi coraz żwawiej,
I weselej i ciekawiej,
Za stolikiem zaś u ściany,
Idzie maryasz zawołany:
Mostowniczy, widać z giestu,
Że wychodzi ze dwudziestu...
W ręku dziewic prysły nicie,
A my sobie szepczem skrycie,
Że się babcia rozgadała,
Dziewic wieczór przypomniała.

Nadchodzi niedziela—mroz tęgi na dworze,
Cóż robić drużynie przy długim wieczorze,
Gdy serce tak pragnie ochoczéj swobody?
Ot leémy, poleémy kuligiem w zawody!
Wnet sanki się stroją, sprzęgają koniska,
Zamierzchło—wnet ogień w świetlicy zabłyska,
Tam nasze dziewczęta, jak róże majowe,
Już tulą się w szubki i chustki zimowe,
Nareszcie to wszystko wybiega na ganek,
Z wesołym chychotem zasiada do sanek,
Z nas każdy do swojej wyprzedzić się nie da,
I hu! ha! ze dworku ruszyła czereda.
Noc blada, mróz silny, a niebo gwiaździste,
My lecim przez pola i lasy srebrzyste,
Tam wszystko co żyje przed nami umyka;
Brzmią dzwonki, bicz klaska i młodzież wykrzyka,
Po znanych drożynach w gościnę prowadzi,
A konie parskają... snać będą nam radzi.

Chłopiec tulił swą dziewoję:
„Szczęście moje! życie moje!
Z tobą razem dni i lata
Tak bym leciał na kraj świata.
Cóż bo winne serce młode,
Że swych uczuć ma swobodę?
Cóż bo winny te uczucia,
Że od ciebie chcą współczucia?
Och! w samocie życie nudne,
A przy tobie takie cudne,
Jak w tej skazce. Jeśli wola
Powiem skazkę: ot raz dola
Szła po świecie i szukała
Wybranego: zapukała
W me okienko. Jak to było
Czy na jawie, czy się śniło,
Już nie pomnę—dość że owa
—Dola, rzekła takie słowa:
— Ej mołojcze! ej sokole!
Chciałeś doli—masz więc dolę.
Czego pragniesz, może sławy?
Lecz jej wieniec bardzo krwawy.
Czy bogactwo ciebie mami,
Które czysty duch twój splami?
Mów mołojcze, bo ci pono
Coś na swiecie przeznaczono.

Nie wiedziałem co mi trzeba!
Rzekłem dziej się wola nieba!
Niechcę skarbów, ni wielkości,
Lecz spokoju i miłości."

Konie lecą dzwonek dzwoni,
Dłoń dziewczyny w chłopca dłoni.
„Cóż więc dola? pyta ona—
Wszak twa skazka nieskończona."

„A cóż, widzisz, że powoli
Już się spełnia wyrok doli—
Ty mnie kochasz? „Och serdecznie!"
„Więc będziemy z sobą wiecznie:
Dola da nam małą chatkę,
Tam przytulim starą matkę,
I siostrzycę mą jedyną,
A dni jasne nam popłyną..."

Jeszcze prawić chciał kochanek,
Lecz wjechano tuż pod ganek.

Ruch w dworku powstaje, wpadamy w świetlicę—
Tam dziewic przybyłych spotkały dziewice,
I trwają całusy przynajmniej godzinę,
A my zaś witamy Sędziego rodzinę.
Pan Sędzia najpierwszy polityk w powiecie.
Wraz pyta: „Mosanie! co piszą w gazecie?
Czy Francuz, czy Anglik wygrywa tam pole?
Czy prawda że Turek już zajął Podole?"
A na to za stołem pan Regent przerywa:
—„Niech Sędzia gra dalej" bo Francuz wygrywa."
—„Niezawsze i wszędzie! Deputat dodaje—
Tymczazem niech Sędzia nam karty rozdaje."
Pan Sędzia posłuszny, gra dalej—i w becie—
Zapisał i pyta:—„A co tam w gazecie?"—
—„Herbatę podano—odpowie Sędzina—
To bowiem dla gości najlepsza nowina;
Bo dzisiaj na dworze mróz taki zamroził,
Co w roku dwunastym Francuzów pomroził;
Lecz goście przybyli, daj Boże im zdrowie!
No dalej panienki! zapraszam panowie!"

Po herbacie młódź wesoła
Gry zaczęła—jam do koła
Stanął—*Wróbla* zaśpiewano:
Wybierałem, mnie wybrano.
Potem siedli do *Sąsiada*!
„Czyś rad pan?" „Czyś pani rada?"
Mnie szczęśliwie szły przypadki,
Żem był zawsze rad z sąsiadki.

Któż nie zna na Litwie po wioskach i dworach,
Ochoczej zabawy przy świętych wieczorach?
Bo u nas aż nim Trzej przyjadą królowie,
To wieczór powszedni, a świętym się zowie.
W wigilią Trzech Króli, po kucii bogatej,
Dziewczęta litewskie wybiegłszy z komnaty,
Słuchają pod oknem i wróżą z rozmowy,
Czy pleść im w tym roku swój wieniec godowy.
Brną potem biedaczki przez hurby śnieżyste,
Obliczać, czy w płocie są kołki parzyste,
A gdzie pies zaszczeka, to z tamtej już strony,
Najpewniej w tym roku przyjedzie sądzony.
Gdy wróżba nie idzie z żądaną nadzieją,
To wówczas do wody topiony wosk leją,
Lub cynę, ztąd każda na myśli swych temat
Znajduje juz w wodzie wylany emblemat.

Co wróżyły mnie dziewczęta,
To już dziś się nie pamięta;
Bo z ubytkiem młodej wiary
Na te bajki jam za stary.

Przeszły złote dni młodości,
A wspomnienie w sercu gości,

I tam echem swej harmonii.
Dawną, młodą pieśń mi dzwoni:
O rusałkach mych dziewicach,
O litewskich wieczornicach,
O tych wróżbach lepszej doli,
I duch tęskni, serce boli.
—Ech! ktoś doda ku téj nucie—
Młodszém było twe uczucie;
Dziś ostygłeś, mówiąc szczerze,
Sny wspominasz! lecz ja wierzę,
Że czy jawnie, czy się śniło,
Ale dawniéj lepiéj było.

Czyś wiedziała, wróżko młoda,
Że twa młodość i uroda
Tak dla ciebie marnie zginą?
A tej zguby któż przyczyną?
O! nie zdrada, lub swawola,
Lecz zwodnicza owa dola.

Czyż jam wiedział, że zawody
Tak zabiją wiek mój młody,
Że mi wskaże los mój srogi
Cztery wiatry, cztery drogi,
Piątą lirę dla pociechy,
Oh! niewielkie moje grzechy,
Oh! niewielka ma swawola,
Winą temu... owa dola.

Autor pamiątek z Litwy.

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej.

(Dalszy ciąg).

Rozdział XXXVIII.

W parę tygodni po weselu Frani, pani Mikłocka z Klarką przeniosły się do państwa Antoniostwa. Graty które miały pójść na pastwę zaległego komornego, oczyszczono, oporządzono, poobijano i choć twarde jak kamienie, pozbawione narośli sprężynowych i dołów podobnych do wybojów na drodze publicznej, nieźle przystroiły mieszkanko i wyglądały skromnie ale przyzwoicie. Nie pominięto i obrazów, ramy odnowiono, a nawet na stoliczku stojącym o własnej mocy, ustawiono zegar naprawiony w uporze co do skazówek. W oknach założono firanki, podłogę ufroterowano, dla matki ustawiono łóżko w kuchni, gdyż bez sługi postanowiono się obchodzić, w pierwszym pokoju urządzono sypialnię dla młodego małżeństwa a Klarka miała sypiać na kanapie w bawialni.

Urządzeniem całem zajmował się Antoni, sam łatał, obszywał, obijał, a czemu nie mógł zaradzić, wyręczał się pomocą towarzyszy w fabryce, którzy go wielce cenili i chętnie spieszyli z usługą. Kiedy wreszcie wszystko zostało przygotowane, Antoni rodzinę swej żony wprowadził do mieszkania i przyjąwszy w przedpokoiku, zaczął od kuchni, pokazał szafę z półkami na machoń ulakierowaną, potem sypialny pokój zastawiony sprzętami własnemi, a gdy roztworzył drzwi i wprowadził do bawialni, Frania zawołała; a, a! a pani Mikłocka kręcąc głową rzekła, że i u wujów nie było ładniej w salonie, tylko piec był ładniejszy, choć miał poutrącane figurki na gzemsach a przed drzwiczkami wielką dziurę w podłodze, którą wypaliła głownia. Wuj bardzo go lubił ale tylko w zimie, dodała w końcu, i zawsze spoglądając na niego i na pana Hesa, mówił: w starym piecu dyabli palą.

Poczciwy Antoni promieniał szczęściem patrząc na ogólne wszystkich zadowolenie, Frani łzy stanęły w oczach gdy uściskiem dziękowała mężowi za poniesione trudy, Klarka patrzyła na nich z pewną zazdrością, a Mikłocka uważając się za gościa usiadła na kanapie.

— Jakżem szczęśliwy, odezwał się Antoni, że wam tak spodobała się moja praca: miałem z nią dosyć kłopotu. Mieszkanko choć malutkie ale milutkie. Bóg nam nie odmówi błogosławieństwa i przy jego pomocy będzie nam wszystkim dobrze, serca kochające to skarb największy, mam też nadzieję że mnie tak pokochacie jak ja już was dziś kocham.

Rzekłszy to ucałował ręce matki a potem Klarki, nazywając ich z serdeczném czuciem matką i siostrą, jakby nazwami temi, pieścił się, cieszył a nawet zachwycał. Prosił przytem, aby go jak to należy nazywano Antonim bez dodatku pana, jako syna i brata tych które ukochana jego Frania nazywa matką i siostrą. Klarka natychmiast to spełniła, ale pani Mikłocka oświadczyła, że do tego nigdy nie nawyknie, bo przez rok cały po ślubie inaczéj męża nie nazywała tylko panem Mikłockim.

— Ależ przecie Antoni nie został mężem mamy, tylko zięciem, zrobiła uwagę Klarka.

— Zięciem? powtórzyła Mikłocka podnosząc ramion, jak tylko zapamiętam od najmniejszego dziecka nie miałam nigdy zięcia.

— To i ja szwagra nie miałam, odezwała się Klarka.

— Wuj pana Hesa to zawsze szwagrem nazywał i takiem się tego nasłuchała, że często mówiłam o nim: nasz szwagier.

— Niech mnie tylko mama kocha jak syna...

— Jak syna? nigdy syna nie miałam przerwała Mikłocka i choć się mąż mój gniewał a ja przysięgałam, co Bóg dał dziecko to zawsze córkę i mąż do mnie potem z tydzień nie gadał a ja dwa tygodnie nie spojrzałam na niego.

— To niechże mnie mama kocha jak córkę, odezwał się Antoni całując znowu Mikłocką w rękę, a ta przycisnęła usta do jego głowy i szepnęła z rozczuleniem:

— Mój panie Antoni, kocham cię jak córkę!

Klarka machnęła ręką i wyszła do drugiego pokoju.

Odtąd życie rodziny Mikłockich upływało nadzwyczaj jednostajnie: Antoni prawie dnie całe przesiedział w fabryce, Frania z matką zajmowały się jak dawniej robotami, a Klarka pilnowała galaru przedając bilety. Byt ich znacznie się polepszył codzienny zarobek z dwóch źródeł płynący choć niewielki, przy stałej pensyi Antoniego stanowił dzielną pomoc, tak że panny od śmierci ojca, pierwszy raz odetchnęły swobodniej i nie były zmuszone co chwilę prawie suszyć głowę jak brak załatać. Klarka ożywiła się, wygładziła, wyprzystojniała a patrząc na szczęście siostry i własne, nie mogła się wydziwić, że na Antoniego jako konkurenta, tak mało niegdyś zważała. Szło już jej teraz tylko o własne wydanie się: Anzelma prawie była pewną a jeżeli czasem patrząc na Franią, na jéj ciągłe zajmowanie się mężem, czy był czy nie był w domu, na jéj uśmiech i oczy promieniejące radością gdy ją witał po długich godzinach nieobecności, sama siebie zapytywała, czy i ona z podobną tęsknotą wyglądać będzie Anzelma jako męża?

Odpowiedź była widać wątpliwą, bo po chwili namysłu szepnęła sobie:

— Przyzwyczaję się, człowiek tak zacny i szanowany powszechnie obudzi we mnie uczucie prawdziwej przyjaźni i wdzięczności. Mieć stały dochód być wolną od wszelkiej troski, ach! mój Boże! czegóż więcéj żądać? Przytem poczciwy sędzia nie jest bez zasobów, w razie śmierci czeka mnie emerytura, wszystko to są korzyści wielkiego znaczenia.

Mimo jednak téj pewności, Anzelm wielki zwolennik wiślanych kąpieli, choć częściej zachodził do Klarki, choć ściskał rączki, uśmiechał się i figlarniej niż dawniej spoglądał na młodą panienkę, o miłości, o związku małżeńskim dalekie tylko bardzo robił napomknienia i to tak niewyraźne, że je można było rozmaicie tłomaczyć. Był to jednak postęp dość znaczący: dotąd Klarka była podobnie działająca, teraz Anzelm zajął jej miejsce, zmieniły się rolę i nadzieja tak upragnionego małżeństwa zyskała pewniejsze zasady. Nie na tem się jednak jedynie oparła. Bonawentura stał się tu czynnikiem wiele znaczącym.

Zwolniony co do ułożonego przez Anzelma małżeństwa z Franią, stał się śmielszym i więcéj stanowczym w swataniu swego poważnego przyjaciela, zwłaszcza że był przekonany, iż zarówno jego jak i Klarkę uszczęśliwi. W każdej więc rozmowie, a widywał się z nim prawie codziennie, korzystając z najmniejszej okoliczności, z najdrobniejszego szczegółu, wystawiał przymioty Klarki, jej rozsądek, pracowitość, oszczędność, brak wszelkich wymagań i zacność serca wielce do niego przywiązanego. Kując tak codziennie, Anzelma wreszcie rozruszał, oswoił z myślą małżeństwa, zrobił go coraz mniej opierającym się i doprowadził rzeczy do tego, że stary poczciwiec raz mu wyznał że tak się Klarką zajął, iż mu się już zdaje, że się z nią ożenił. O przebiegu tych swoich usiłowań zawiadamiając wiernie Klarkę, stał się jej niejako powiernikiem, doradzał, z chęcał, wskazywał środki postępowania i w końcu z wielkim tryumfem przyniósł wiadomość, że sędzia stanowczo postanowił oświadczyć się o jej rękę, że go o tem sam zawiadomił i lada dzień spełni swoje postanowienie.

Od tego czasu w kasyerskim pokoiku Klarki, Anzelm stał się prawie codziennym gościem: wyelegantowany, wyperfumowany, uśmiechnięty, prowadząc ciągłą rozmowę, przedstawiał wszystkie tarapaty swego kawalerskiego życia, wysławiał poczciwość Bonawentury, czasem obdarzył Klarkę pochwałą jej wdzięku i rozumu, oświadczenia jednak nie mógł jakoś wydusić i zawsze mu coś stanęło na przeszkodzie. Bonawentura tłomaczył to szczególną delikatnością, pragnieniem dobrego poznania go przez Klarkę, aby znając wszystkie jego przymioty, wady, narowy i przyzwyczajenia, wiedziała czego się ma spodziewać i potem nie narzekała na zawód gdyby jej nadzieja, co do ufności w niego choćby w małej rzeczy, zawiedzioną została. Była to rzeczywiście przezorność wielkiej delikatności, Klarka umiała ją ocenić a choć w rozmowach oświadczenia jeszcze nie było stanowczego, tak jednak były prowadzone jak między narzeczonémi którzy zwykle z tak wielką dla siebie radością układają plany przyszłego pożycia. Po każdéj podobnéj rozprawie Klarka stawała się więcéj zamyśloną, rozważającą a nawet jakby smutniejszą: Frania spostrzegła to, a gdy raz zrobiła uwagę, że się widocznie przymusza, Klarka odburknęła powiadając, że nie jest to przymus ale zwrot naturalny w zmianie życia jaka ją czeka.

— Nie każdy tak jest romansowy jak ty, moja

Franiu ze swoim poczciwym Antonim, dodała. Miłość, choć jéj nie znam...

— Ah, gdybyś mogła prawdziwie pokochać przerwała Frania, jakże bym była szczęśliwą.

— Dajże pokój, o tem nawet nie marzę. Otóż miłość choć jéj nie znam, ale widzę że zaślepia człowieka na wszelką rzeczywistość. Przyjaźń jest uczuciem spokojniejszem, trwalszém, bo nie gorączkowém, takie mam właśnie dla Anzelma, nic więc dziwnego że poważniej niż ty na przyszłość mnie czekającą zapatruję się. Nie z przymusu to zatem wychodzi, jak się błędnie wyraziłaś, ale z rozwagi bardzo naturalnej.

— Gdybyś jednak chciała, mogłabyś pokochać, odrzekła Frania cichszym głosem jakby z nieśmiałością.

— Nie wiem kogo? Może to uczucie ożywiłoby się w mojem sercu, gdyby ktoś prawdziwie mnie ukochał, ale nie mając takiego...

— A! nasz Skowroński czy cię nie kocha? zapytała Frania przytulając się do siostry.

— Skowroński? Nasz Franek?

— Tak, moja Klarciu, chyba oczów nie masz jeźli tego nie widzisz.

— Może i tak jest, ale jakże możesz coś podobnego układać w swojej głowie? Franek i ja, także para do pokochania!

Frania miała słuszność: Franek już teraz kochał Klarkę z całą świadomością swego serca. Kochał bez nadziei, cieszył się że może na nią patrzéć, czasem rozmówić, że jest w pobliżu jej przez dnie całe, że wskazana mu została szczególną łaską Bożą, aby się upamiętał i został porządnym człowiekiem, ale żeby się z nią mógł kiedy ożenić, o tem nawet marzyć się nie ośmielił. Miłość czysta i idealna, dana wszystkim ludziom bez żadnéj różnicy, któréj każdy raz w życiu uledz musi, była dla niego przewodnią gwiazdą; jakby głos z nieba wskazujący mu co ma robić a czego strzedz się, żeby zyskiwał pochwały Klarki a nagany unikał. Zapragnął też przedewszystkiem nauki: czytał wszystko co mu wpadło w ręce, w dnie szczególniej słotne nie odrywał się od książki, czytał powieści, historyą, wiadomości z nauk przyrodzonych, o dalekich krajach, ludach dzikich, urządzeniach narodów ucywilizowanych, a choć w tem wszystkiem czego się uczył z taką chciwością, brakło porządku, zawsze jednak umysł jego rozjaśniał się, oświecał i w błędnych pojęciach prostował. Powieść wzbudzała go do zastanawiania się nad samym sobą i poznawania gry namiętności serca ludzkiego: historya podnosiła w godności własnéj jako jednostki wpływającéj często na losy całéj społeczności: nauki przyrodzone obznajmiały z cudami natury i z wszechmocą Tego który był ich Twórcą, podróże wreszcie wykazywały potęgę cywilizacyi, jéj wpływ zbawienny na losy narodów i pojedynczych ludzi i szkody z braku jéj wypływające.

Idąc dalej w tem samouctwie, to co czytał starał się zapamiętać, pochwytać myśli i wyrażenia i tym sposobem okrzesał niezmiernie dawny sposób wysławiania się, zrobił go szlachetniejszym, więcéj wyszukanym, tak że ani troszkę już nie był podobnym do dawnego Franka. Z rozwijaniem umysłu, z rozszerzaniem horyzontu myśli i powierzchowność Franka wiele zyskała. Wyraz twarzy jego nabrał pewnej powagi, w rysach jéj znać było że głowa myśli, rozważa i zastanawia się: z obejścia znikła dawna szorstkość, z ruchów niezgrabność, a starannością o miłą w ubraniu powierzchowność, dowodził, że obudziło się w nim pojęcie piękna, że szlachetniejąc w duszy pragnął wszystko widzieć w odpowiedniej harmonii.

Kiedy Anzelm coraz częściej odwiedzając Klarkę, stał się wreszcie codziennym prawie gościem, Franek zrobił się uważniejszym na postępowanie starego kawalera: zaloty jego podpatrzył, podsłuchał, przekonał się że Klarka bardzo je chętnie przyjmuje, że rozmowa prowadzona jest z wielkiem ożywieniem, że widocznie w niej okazuje upodobanie... i biedak uczuł, że szczęście jego skończyło się.

— Jakto, pomyślał, miałażby pokochać tego starego trupa! To niepodobieństwo! Nęci ją jedynie jego godność, pensya i pieniądze które posiada. To niegodnie, to podłość tak się przedawać dla kawałka chleba. Czyż o niego tak trudno na świecie? Jam sierota sam sobie byłem zostawiony od najmłodszego wieku, a przecie zawsze dałem sobie radę. Od chwili jakiem to zrozumiał, zdaje mi się żem się na nowo urodził, że opadły ze mnie kajdany, a zostałem swobodny i świat do mnie się uśmiechnął a ja do świata.

Podobnemi myślami, od chwili częstszych nawiedzeń Anzelma, Franek ciągle się zajmował. Pogląd jego na sprawy świata, rozwijał się, rozszerzał, wnikał w najdelikatniejsze ich odcienia, bo myśl raz ocknięta już dla swej działalności nie znajduje granic i stając się coraz hartowniejszą, dotyka wszystkich prawd przedtem dla niej ukrytych.

W tym wewnętrznym procesie, Franek najprzód uczuł pewien rodzaj wzgardy dla Klarki, później złagodniał w swoim wyroku, zrozumiał słabość jej jako kobiety i ulitował się nad położeniem, zmuszającém do tak rozpaczliwego postanowienia.

— Gdyby mnie kochała: wspólnie uszczęśliwilibyśmy się... ale coby świat powiedział ujrzawszy pannę szlacheckiego rodu żoną nadwiślaka warszawskiego, żyjącego z posługi przy galarze kąpielowym.

Raz rozmyślając nad tem stał przy baryerze galarowej połową twarzy zwrócony ku Wiśle. Z kasy tylko co wyszedł Anzelm a przyszła Frania: siostry zaczęły z sobą zaraz rozmowę. Franek stał zdala od nich zamyślony, z rękami założonemi na piersiach. Oczami wodził po mętnej fali wiślanej, czasami przerzucił je w rozpostarte nad nim wyżyny, na sterczące gmachy Warszawy lub w daleki horyzont rzecznego pobrzeża, ale znać było że choć patrzy ale nic nie widzi, tylko podsłuchuje szeptów własnego serca, buntującego się przeciw wszystkiemu co mu się niesłusznem i niesprawiedliwem zdawało.

— Czyżem temu winien, myślał sobie, żem się opuszczonym sierotą urodził? Dla czego ludzie ród tak wysoko stawiają jakby to ich było zasługą? Jeden Bóg wszystkich ludzi jest ojcem, każdy w to niby wierzy, a jednak pycha wznosi jednych nad drugich, wszystko targa, niszczy braterstwo i biedaków bez rodu i mienia na wzgardę skazuje. Mój Boże! dla czego nie wszyscy są takiemi jak poczciwa starowina panna Józefa, która oddała mi ostatni kawałek chleba aby uratować od śmierci: jak zacny niewidomy kaleka, który mnie nauczył prawdziwie kochać Boga i ufać jego miłosierdziu: jak pani Adamowa, pan Prosper, siostrzenica jego Zosia tak miłosierni w mojem nieszczęściu? Ha! stało się, świata nie przerobię, niech pozostanie głupim jakim jest i stęka w swojej głupocie. Z kochania, jak to czytałem, ludzie dostają obłędu... Szaleni! nie mają widać Boga w sercu. Bóg mnie pocieszy: z woli jego poznałem dawne swoje głupstwo... czegoż więcej mogę żądać?

W czasie tych myśli Franka obrzuconego promieniami zachodzącego słońca, rozmowa siostr nie ustawała. Klarka opowiadając wszystkie szczegóły ostatniej bytności Anzelma, parę razy wychyliła się z okienka i mimowoli spojrzała na Franka. Gdy to raz jeszcze spełniła, nagle przerywając opowiadanie, zapytała Frani wskazując na młodego nadwiślaka:

— Powiedz mi moja Franiu, kto to tam stoi, czy to Franek?

— A tak, Franek, cóż to nie poznałaś go?

— Nie byłam pewną, tak mi się jakoś zmienił, odrzekła Klarka i wpatrując się z zajęciem w młodzieńca, dodała mimowiednie: jakiż on ładny, jakże wygląda ślicznie, w tej malowniczej postawie, w jakiej go nigdy jeszcze nie widziałam!

I mówiąc to nie spuszczała oczów z Franka.

— Biedny Franek! odezwała się Frania, myśli zapewne o tobie i o Anzelmie.

— Ah! co też mówisz! zawołała Klarka i zarumieniła się. Serce jéj pierwszy raz drgnęło rozbudzonem uczuciem prawdziwéj miłości! Było ono dla niej samej, niepojętem, czuła tylko że zaszła w niej dziwna jakaś przemiana, że dawny Franek zginął jakby w przepaści, a przed nią stanęła nowa postać przedtem nieznana i niewidziana. Frania przyjrzała się siostrze i zrozumiała rozstrój jaki w niej zapanował: uszczęśliwiona, wzruszona przelotną myślą obdarzenia kochanej przez nią siostry szczęściem jakiem sama się cieszy, objęła ją w uścisku mówiąc z przejęciem:

— Ah! moja Klarciu, sto razy wolałabym Franka jak Anzelma.

Klarka lekko odsunęła od siebie siostrę ale nic nie odpowiedziała. Po powrocie do domu równie była milczącą i zadumaną a gdy zamknęła się na nocny spoczynek Frania słyszała długo jak przechadzała się po bawialni...

Stało się to wszystko już późną jesienią, w chwili zamknięcia kąpieli wiślanych: na drugi dzień nawet Klarka nie miała pójść do kasy, gdy zupełnie niespodziewanie do pomieszkania Antonich około południa przyszedł Franek. Kobiety przestraszyły się nawet pani Mikłocka załamała ręce i razem z córkami zawołała:

— A to co się stało takiego że pan Franciszek przyszedł do nas? Czy z galarem zaszło jakie nieszczęście?

Od chwili nabycia go, tytuł *pan* w coraz częstszym był użyciu. Franek bowiem jakoś spoważniał, tak że nie śmiano go jak dawniej samem imieniem nazywać.

— Niech panie będą spokojne, odrzekł z uśmiechem patrząc na przestraszone kobiety. Z galarem wszystko dobrze i nic się złego nie stało, a tylko przyszedłem do pań z oświadczeniem, że z Warszawy wyjeżdżam i już nie prędko do niej powrócę.

— Co, co? Wyjeżdżasz? zawołały kobiety z nowym podziwem. A to z jakiego powodu?

— Nieprzewidziane okoliczności zmuszają mnie do tego, ale choć odjadę wszystko zostawię w porządku. Wynalazłem już zastępcę, człowieka bardzo uczciwego, który...

— Ale my nie chcemy, przerwała Klarka, pana Franciszka nikt nie zastąpi!

— Dziękuję pani za takie zaufanie, ale nie mogę tu już pozostać dłużej...

— A to dla czego?

— Sprzykrzyła mi się Warszawa, i chcę w innych stronach poszukać kawałka chleba...

— Czyż go tu nie masz? A jeżeli, mój panie Franciszku, pragniesz poprawy, to powiedz swoje warunki....

— Nie, panno Klaro, w Warszawie dobrze mi było i byłoby coraz lepiej gdybym w niej został. Trafia mi się dostawa piasku i zwiru do nowych budowli na wiosnę. Berek chce zostać wspólnikiem państwa galaru aby go rozszerzyć, a i inne trafiają się interesa równie korzystne, bo jak się przekonali że mogą mi zaufać, to każdy garnie się do mnie...

— Wierzę temu, dla czegóż więc panie Francisz-

ku nie chcesz korzystać z tak pomyślnych dla siebie okoliczności?

— Ej! nie wabi mnie to wszystko, odrzekł Franek z westchnieniem. Nie pieniądz szczęście przynosi... Warszawa sprzykrzyła mi się...

— Ale to dziwactwo, namyśl się panie Franciszku.

— Już się namyśliłem panno Klaro, odrzekł Franek stanowczo.

— Wreszcie, mówiła dalej Klarka, bez ciebie nie damy sobie rady z galarem...

— Ej! nie, panno Klaro, mój następca bardzo uczciwy człowiek, mogą mu panie zupełnie zaufać.

— Powiem ci otwarcie mój panie Franciszku, odezwała się Klarka cokolwiek obrażona, że wszystkiego tego nie rozumiem. Musi być jakaś inna przyczyna, którą taisz a tak z nami postępować nie godzi się. Dałeś tyle dowodów swej dla nas życzliwości, czy czem obraziliśmy cię że nas opuszczasz?

— A niech Bóg broni! Spełniłem wszystko co do mnie należało. Przy paniach doświadczyłem wiele dobrego, uratowałyście mi życie a potem duszę... postanowiłem za to wywdzięczyć się, Bóg dopomógł, dziś już panie obejdziecie się bez moich usług...

— A to jakim sposobem?

— Pani Antoniowa ma męża, pani także wkrótce pójdziesz za mąż...

Klarka zarumieniła się.

— To może i ty panie Franciszku, rzekła po małéj chwili, masz się ożenić?

— Nie myślę o tem nawet. Przed mojem nieszczęściem, które późniéj szczęście mi przyniosło, zdawało mi się że znaleźć żonę bardzo łatwo. Dziś inaczéj myślę, bo i na świat i na ludzi inaczéj patrzę jak dawniej. Starzy ludzie powiedzieli, że mąż i żona od Boga przeznaczona i to mądrze powiedziano. Małżeństwo jest świętym Sakramentem, przysięga w niem składa się samemu Bogu, czyż w niej można przyrzekać to czego człowiek nie czuje w swojem sercu? Kto inaczéj robi, to jest krzywoprzysięzcą, człowiekiem najpodlejszym w świecie, Bóg go potępi a ludzie wzgardzą. Teraz co prawda inna na świecie moda: słyszałem od różnych panów w kąpieli, a i czytałem to nieraz, że małżeństwo jest tylko spółką, jak każdy interes zawieraną dla tego, żeby ludzie smaczniej mogli jeść, pić, wytworniej mieszkać, bogaciej się ubierać i lepiej hulać. Widać że tacy co tak robią nie mają Boga w sercu, ja Go mam i pragnę wedle Jego rozkazu postępować. Gdybym się więc ożenił kiedy, to tylko z taką coby jak ja Boga w sercu miała, coby uczuła w sobie że jest dla mnie przez Boga przeznaczoną a ja dla niej. Innéj nie chcę mieć za żonę a takiej nie znalazłem.

Klarka przez czas mowy Franka siedziała jakby na rozżarzonych węglach: słowa jego poruszały ją, zawstydzały, paliły, chciała parę razy przerwać, ale nie miała odwagi, usta same się przymykały. Znaczenie ich, że były do niej wymierzone, aż nadto dobrze pojmowała, nieprzyzwyczajona do tego rozgniewała się, oburzyła, tłumiąc jednak uniesienie a przyzwyczajona do grania ciągłej komedyi, z uśmiechem nieco szyderczym rzekła:

— Wszystko to prawda coś tu panie Franciszku powiedział, jestem jednak pewną, że gdyby trafiła się panna posażna..,

— Czyż mi się i takie nie trafiały? przerwał Franek. Odrzuciłem je jednak, bo sumienia nie umiem przedawać.

— Gdzież jednak pojedziesz i co myślisz z sobą zrobić? zapytała Klarka pragnąc rozmowę zwrócić od tak drażliwego przedmiotu. Przypuszczam bowiem panie Franciszku, że wierzysz w naszą dla ciebie wielką życzliwość..,

— Tak pani, wierzę w nią, odparł Franek i dodał z czuciem, bo i dla czegóż panie miałybyście mi źle życzyć? Dla waszego szczęścia byłbym oddał ostatnią krwi kropelkę, uważałem was za aniołów stróżów przez Boga wskazanych mi dla mego upamiętania, wszystko robiłem dla waszego dobra jak mogłem i umiałem, czyż przez to nie zasłużyłem choć na odrobinkę waszej życzliwości? Wierzę więc w nią i wdzięczność dla was zachowam w sercu do końca życia...

— Bardzo jesteś zacnym człowiekiem, panie Franciszku, odrzekła Klarka cokolwiek wzruszona: bądź przekonany że poczciwość twoją umiemy ocenić.

— Dziękuję pani za to wyznanie, odrzekł Franek smutnym głosem, co zaś do tego co myślę z sobą zrobić, to tylko tyle powiem, że ufam Bogu i sobie, pewny więc jestem że dam sobie radę. Pojadę do Płocka i upatrzę sobie jaki zarobek przy Wiśle, a jeżeli go odrazu nie znajdę, to pójdę w służbę, pierwszą lepszą jaka mi się trafi, a najprędzej przystanę do rybaków przy połowie jesiotrów, bo na tem znam się dobrze. Niech panie o mnie zupełnie będą spokojne, dam sobie zawsze radę.

— Jesteśmy o tem najzupełniej przekonane, zawsze to jednak nie wyjaśnia właściwej przyczyny opuszczenia Warszawy. Mieć już tu zarobek przyzwoity i wszelką nadzieję polepszenia bytu, a porzucać to bez ważnej przyczyny, to czyste szaleństwo!

— Zapewne że to troszkę wygląda na szaleństwo, ale inaczej być nie może. Warszawa zbrzydła mi, zdaje mi się że w niej ludzie zatracili duszę, a tylko mają mowę dla kłamstwa i bluźnierstwa. Za pieniądze wszystko u nich kupi, duszę, sumienie a nawet... kochanie.

Ostatniego słowa Klarka udała że nie dosłyszała.

— Kiedyż więc panie Franciszku zamierzyłeś opuścić Warszawę? zapytała.

— Po jutrze...

— Tak nagle?

— Jedzie razem ze mną mój przyjaciel do matki w Płocku, przy nich więc jakiś czas zabawię żeby sobie jąką pracę upatrzyć. Dziś przyszedłem pożegnać się z paniami...

— Tak wcześnie? Na to nie pozwolimy i musisz jutro panie Franciszku przepędzić z nami wieczór. Starzy przyjaciele tak się nie rozstają, wszak prawda?

— Niechże się spełni życzenie pani, odrzekł Franek, wszakże to raz już ostatni.

Po wyjściu Franka, Klarka nie chcąc się wydać z wewnętrznym rozstrojem, jaki w niej sprawiła przeprowadzona rozmowa, starała się nadrobić miną. Spojrzała w lustro, poprawiła kołnierzyk i kokardki i zajęta tą czynnością rzekła:

— Ale nasz Franek anim myślała. żeby stał się takim filozofem. Umie nawet mówić kazania...

— Na kazaniu odezwała się Mikłocka, żeby nie zasnąć to wuj raz poraz pchał w nos tabakę, pan Hes przecierał oczy, a ja skronie zwilżałam octem. Ksiądz kanonik znał to do nas i jak przyszedł na obiad, to zawsze mówił, że wuj ma nos jak fujarę, pan Hes oczy jak królik, a ja skronie jak po synopizmach, potem tupał nogą i powiadał żeśmy bezbożniki.

(d .c. n.)

Kronika Paryzka.

(Dokończenie).

Osoby ktore w ostatnich czasach będąc w Paryżu, miały sposobność jechania koleją żelazną obwodową, spostrzegły z pewnością nowy sposób zatrzymywania pociągu, działający nader szybko i skutecznie. Jest to jeden ze środków wprowadzanych w wykonanie na liniach angielskich i francuzkich, mających na celu zapewnienie bezpieczeństwa podróżnych. Rzecz to niemałej wagi; dziś podróżują wszyscy; sprawozdanie zatem z uskuteczniańych ulepszeń nie będzie obojętném dla czytelników.

Wypadki zdarzające się na kolejach żelaznych, mają po większej części miejsce z powodu spotkania się dwóch pociągów lub też z uderzenia przechodzącego pociągu o wagony stojące przed dworcami kolei. Statystyka prowadzona jak najdokładniej wskazuje 60% wypadków tego rodzaju, które po większej części nie miałyby miejsca, gdyby można było w ciągu kilku sekund zatrzymać bieg pociągu.

Rozmaite pomysły w tej mierze przedstawiano, ale te spoczywały spokojnie po biurach nie ulegając sprawdzeniu i prawdopodobnie długi czas jeszcze pociągi byłyby zatrzymywane po dawnemu, co przy zwiększonym ruchu zwiększałoby i wypadki, gdyby nie trzykrotne spotkanie pociągów w Anglii w r. 1874, pozbawiające życia siedmdziesięciu podróżnych. W obec podobnego nieszczęścia rząd nie mógł pozostać obojętnym: ogólne oburzenie zniewoliło go do działania: zażądał od kompanii kolei albo zastosowania środka do zatrzymania pociągu w krótkim przeciągu czasu; albo też zmniejszenia liczby pociągów przez wzgląd na bezpieczeństwo ogólne.

Administracya zgodziła się na zmianę systemu hamulców, odbyto więc próby w obec delegatów rządowych, które ostatecznie uwieńczone zostały najzupełniejszem powodzeniem.

Dwa systemy hamulców, Westinghouse i Smitt uznane zostały jako odpowiadające najwięcéj zamierzonemu celowi, spiesznego zatrzymywania pociągów.

Hamulec Westinghouse działa pod wpływem ścieśnionego powietrza. Lokomotywa zaopatrzona jest w pompę, wpychającą powietrze do przygotowanych w tym celu zbiorowników, znajdujących się w każdym wagonie. Obręczę żelazne otaczające koła złączone są ze stemplami cylindrów prostopadłych, w które wchodząc powietrze wywołuje ruch stępli ścieśniających hamulce kół jednorazowo, a tem samem wstrzymujący bieg paciągu.

Pociąg odpowiednio do potrzeby może być zatrzymanym albo przez maszynistę albo przez konduktora; prócz tego każdy wagon posiada odrębną siłę motorową, i odpowiedni do tego przyrząd; na wypadek przeto zerwania wiązadła, każden wagon w odosobnieniu może być zatrzymanym.

Wedle odmiennego zupełnie systemu zbudowanym jest hamulec Smitta, bo jak poprzednio ścieśnione powietrze tak w tym wypadku próżnia jest głównie motorem działającym.

W każdym wagonie jest zbiorownik, którego podstawa jest złączoną łańcuchami z obręczami kół. Przez całą długość pociągu przeprowadzoną jest rura kauczukowa mająca związek ze wszystkiemi zbiornikami pojedynczych wagonów.

Otóż skoro wywołaną będzie próżnia w rurze, następuje parcie na zbiorniki zbliżając ku sobie dwie ich podstawy górną i dolną, przez co następuje nacisk hamulców na koła tem silniejszy im próżnia jest doskonalsza. Przyrząd do wywołania

próżni znajduje się na lokomotywie tuż przy maszyniście, który za pośrednictwem pary sprowadza takową.

Po zrobieniu doświadczeń Rząd angielski wydał polecenie, aby nie był puszczonym w ruch żaden pociąg nie mający dostatecznych hamulców do zatrzymania go, na przestrzeni czterystu pięćdziesięciu metrów.

We Francyi dokonane próby z systemem Smitta dały jeszcze świetniejszy wynik. Zdołano zatrzymać pociąg w przeciągu dwudziestu sekund na długości trzystu metrów w warunkach nader utrudnionych; biegł bowiem nader szybko robiąc ośmdziesiąt kilometrów na godzinę na pochyłości pięcio milimetrowej.

Na kolejach więc tutejszych przyjętym został system Smitta jako zupełnie zadawalniający. Do jego zaprowadzenia nie potrzeba budować odrębnych przyrządów; ale dotychczas używane przy małej zmianie są zupełnie wystarczającemi.

Dzienniki paryzkie domagają się, aby za wzorem Anglików wydanem było prawo zniewalające wszystkie kompanie kolei żelaznej do zaprowadzenia nowego rodzaju hamulców.

Zaprowadzone tego rodzaju udoskonalenie zmniejszy znacznie liczbę wypadków; dla większego jednak bezpieczeństwa potrzeba jeszcze zapobiedz, aby niedbalstwo lub nieudolność ludzi obsługujących kolej nie stały się powodem nieszczęścia.

Wedle obliczeń dokładnych 40% zaszłych wypadków pochodzi z tego źródła: pomimo przepisów wydawanych w tej mierze, nadzoru wyższych władz i surowej odpowiedzialności.

Trudno zmienić naturę człowieka, trzeba ją przyjąć taką jaką jest, usiłują jednak wesprzeć słabość ludzi, przez wynalezienie przyrządów działających samodzielnie.

Skoro zachodzi potrzeba zatrzymania pociągu dla przyczyny niewiadomej maszyniście, posługują dotychczas w tej mierze tarcze ruchome umieszczone na słupach, których barwa a w nocy kolor zawieszonego światła ostrzegają maszynistę o potrzebie wstrzymania pociągu. Nieuwaga jednak była już powodem wielu nieszczęść; uczuwano przeto coraz większą potrzebę zamienienia znaku niemego na jakiś inny, więcej przemawiający do zmysłów.

Panowie Lartigue Forest i Digney rozwiązali trudność tę w sposób zupełnie zadawalniający, umieszczając na lokomotywie świstawkę samodzielną, przeraźliwym krzykiem ostrzegającą maszynistę, skoro tylko tarcze na słupach wskazują niebezpieczeństwo. Wkraczamy jakby w krainę zaczarowaną, widząc przedmioty nieżywotne, dające większe od człowieka dowody prytomności. Jak w wielu innych tak i w tym wypadku elektryczność jest owym motorem, dającym nadprzyrodzone zjawiska. Przy tarczach urządzonym jest odpowiedni przyrząd, który skoro tarcze wskazują niebezpieczeństwo, daje prąd elektryczny uderzający koniecznie w czasie przechodn lokomotywy o drut metalowy, będący w związku ze świstawką, a ta wydaje głos zdolny rozbudzić samego Morfeusza.

Raz wszedłszy na tę drogę inżynierowie chcieli wyczerpnąć przedmiot w zupełności. Wedle ich zdania nie dosyć ostrzedz maszynistę o niebezpieczeństwie, ale trzeba jeszcze bez jego współudziału zatrzymać pociąg. W tym celu prąd elektryczny idący od tarczy znajdących się na słupach drogowych, oddziaływa na opisany powyżej przyrząd Smitta, wprowadzajac w ruch hamulce bez współudziału służby kolejowej prowadzącej pociąg.

Odkrycia zrobione przez pana Sauvajon są jeszcze więcej zadziwiające i nadzwyczajnie pożyteczne szczególniej na zachodzie, gdzie pociągi biegną jedne za drugiemi w niewielkich przedziałach czasu. Każdy pociąg za pośrednictwem odpowiedniego działania elektryczności, otwiera sam drogę, o ubiegłszy pewną oznaczoną odległość znajdującą się przy ostatnim wagonie szczotką metalową, zamyka takową; co zapobiega zetknięciu dwóch pociągów biegnących w jednym kierunku po tej samej linii. Skoro bowiem pociąg zastaje drogę otwartą, w takim razie pociąg poprzedni jest zanadto blizko, prąd elektryczny przeto oddziaływa na świstawkę ostrzegając maszynistę o grożącem niebezpieczeństwie, lub też wprost na hamulce wstrzymujące pociąg.

System pana Sauvajon nie był jeszcze wypróbowanym należycie, ponieważ przyrządy elektryczne nader liczne wymagają znacznego nakładu. Opisane środki ostrożności zastosowane na linii wiodącej z Paryża do Marsylii, kosztowałyby trzy miliony franków; dla oszczędności przeto próby wykonane będą na mniejszej przestrzeni.

W ostatku wypada wspomnieć jeszcze o doświadczeniach uskuteczniónych przez pana de Baillebache, na linii wiodącej ze stacyi Grenelle do wystawy. Chce on połączyć telegrafem pociąg znajdujący się w biegu z innemi pociągami, będącemi na tej samej linii, a nawet z dworcami kolei. W tym celu poprowadzony jest drut pomiędzy szynami zostający w dowolnem zetknięciu z przyrządem telegraficznym umieszczonym w furgonie naczelnika pociągu. Blaszka zostająca w zetknięciu z drutem naciśnięta przesyła depeszę gdzie potrzeba, gdy nie zachodzi ta okoliczność dotyka tylko z lekka drutu, co jest dostatecznem do odebrania komunikacyi zewnętrznej. Tym sposobem dwa pociągi mogą jak najwygodniej z sobą rozmawiać; skoro zaś drut idący między szynami połączonym będzie ze zwykłym drutem telegraficznym, w takim razie z pociągu można będzie posłać depeszę w najrozmaitszych kierunkach.

Nietylko o dalszych ale nie zapomniano i o bliższych okolicach, łącząc pomiędzy sobą telegraficznie wagony jednego i tego samego pociągu. W każdym więc wagonie umieszczona będzie klapka elektryczna, która poruszona ostrzega prowadzącego pociąg o zaszłym wypadku; jednocześnie po nad wagonem wyskakuje w dzień znak odpowiedni a w nocy latarka celem wskazania miejsca z którego zażądano pomocy.

Krótki ten opis niech będzie dowodem wytrwałej pracy ludów zachodnich, usiłających przezwyciężyć największe trudności rozwiązać najmniej zrozumiałe zadania, aby tylko dla dobra ludzkości wydrzeć naturze tajemnice tak starannie ukrywane. Wielu przypłaca życiem swoje poświęcenie, insi odbierają w udziale wieczne kalectwo: pomimo tego liczba pracowników nie zmniejsza się ale powiększa chociaż zaledwo jednemu na stu uda się wykryć nową prawdę a dziewięćdziesięciu dziewięciu doznać zawodu i upokorzenia.

Przegląd literacki.

1) Źródła dziejowe tom X (Warszawa 1878). 2) Historya literatury polskiej L. Sowińskiego 5 tomów (Wilno 1874—1878). 3) Nowe opowiadania historyczne dra A. J. wydanie drugie (Lwów 1878). 4) Mazowiecka szlachta w poddaństwie proboszczów płockich przez W. Smoleńskiego (Warszawa 1878). 5) O zdwojeniu (sic) samowiedzy przez J. Ochorowicza (Lwów 1878). 6) O powstawaniu praw moralnych przez A. Świętochowskiego (Warszawa 1878). 7) Chełmianie, opowiadania z lat 1792—1796 przez Kajetana Kraszewskiego (Warszawa 1878).

(Dalszy ciąg).

Dziedzina filozofii w piśmiennictwie naszém w ostatnich dwu latach zupełnie stoi odłogiem i żadnej na uwagę zasługującej pracy w tej gałęzi zanotować nie możemy. Jeżeli co przypadkiem i pojawi się w druku niby filozoficznego, będzie to najczęściej słaba, choć pyszna i zarozumiała, rozprawka inauguracyjna, albo dziki, pełny arogancyi i nieświadomości pomysł pozytywistów naszych. O dwu takich właśnie słabych, a zarozumiałych robotach wspomnimy na tém miejscu. Jedną z nich jest broszurka Juliana Ochorowicza p. t. „*O zdwojeniu* samowiedzy (raczej *o podwójnej* samowiedzy) Lwów 1878.“ Jest to zbiór wyciągów z rozmaitych zagranicznych dzieł i czasopism *medycznych*, które podają fakta istotnie ciekawe, o wielu *chorych* i *obłąkanych*, którym zdawało się, że są niejako podwójni w jednej osobie, że w każdym z nich jest dwu ludzi. Bardzo to, powtarzamy, ciekawe, ale czy może to prowadzić do jakich wniosków naukowych w filozofii?

Według pozytywistów, może i owszem, a mianowicie ma to dowodzić, że wrzekoma przez idealistów przyjęta *jedność naszego ja*, jedność i niepodzielność naszej samowiedzy, a więc jedność i niepodzielność duszy — że wszystko to jest fałszem i urojeniem, gdyż owa samowiedza, owo ja może rozszczepiać się na dwoje w poczuciu *chorych* i *waryatów*. Ten wniosek, znajdujący się na ostatniej stronicy dziełka, przeczytaliśmy z niemałem zdumieniem, jak może coś podobnego głosić publicznie autor, mianujący się doktorem filozofii, chociaż, jak się zdaje, tak fakta jak i wnioski przepisał z pism obcych.

Trudno to jednak walczyć z logiką pozytywistów zupełnie odrębną od logiki dawnej, *idealistycznej*: wszak według tej samej logiki, wyniki operacyi, dokonywanych na *żabach* są pewnikami psychologicznemi tyczącemi się *duszy ludzkiej;* zapewne więc dowiemy się niebawem i innych jeszcze rzeczy: jak np. że pomiędzy człowiekiem i koniem lub miotłą, *naukowo* nie masz żadnej różnicy, ponieważ doktór X. podaje, że w jednym ze szpitali londyńskich pewnemu *choremu na gorączkę* zdawało się że jest miotłą, a według doktora Z. jakiś *obłąkany* w Moguncyi uważał się uporczywie za wierzchowca. Jak daleko doprowadzi nas taka *trzeźwa pozytywna logika* — któż to przewidzieć zdoła?

Drugą robotą mniejszéj jeszcze wartości, jest książeczka A. Swiętochowskiego, szumnie zatytułowana „O powstawaniu praw moralnych“ (Warszawa 1878). Zarozumiałość autora, równie jak innych adeptów szkoły warszawsko-pozytywnej, zbyteczną skromnością nigdy nie grzeszących, jest niezmierna: we wstępie, zresztą z powodu ciężkiego stylu niejasnym i zawikłanym, głosi autor błędność wszystkich dotychczasowych teoryi moralnych, ubolewa, że aż dotychczas (do roku pańskiego 1878) nikt nie wykrył początku praw moralnych, co dopiero on, p. Swiętochowski ostatecznie uczyni; najmniej, rozumie się, uczyniło dla moralności chrześciaństwo, o którem nawet bardzo rzadko i to z przekąsem, wspomina mający rozstrzygnąć kwestye i wątpliwości tylu wieków wielki myśliciel. Zabieramy się więc do czytania dalszego wykładu i znajdujemy tu zbiór mnóstwa opowiadań i anegdot, wypisanych, z kilku słynnych swojego czasu „tomów;“ treścią ich są rozmaite świadectwa historyków i podróżników, że Grecy, Rzymianie, Indusi,

Chińczycy, Hotentoci, Butukudosy, a i europejczycy średniowieczni, dopuszczali się najokropniejszych zbrodni, nie widząc w tem nic nagannego, a nawet uważając je za czyny godziwe i chwalebne.

Cała ta mozaika natłoczonych chaotycznie szczegółów, odznacza się drastycznym doborem i może zająć takich czytelników, którzy lubią czytać o torturach, wbijaniu na pal, odzieraniu ze skóry i tym podobnych operacyach i którzy rozkoszują się w teatrzykach prowincyonalnych na przedstawieniu takich sztuk jak „Czaszka mordercy" lub „Szkielet bez głowy." Jest tam jedno, najobszerniejsze, bo aż kilka stronic zajmujące (wzięte z podróży po Indyi Jacollot'a), trafiające do gustu młodzieniaszkom, starym kawalerom i kobietom pewnej sfery, ale które z powodu swej zbyt nagiej cyniczności, przewyższającej nawet „Piękną Helenę," sprawiają, że według naszego mniemania, przyzwoite kobiety nie powinny brać do ręki książki p. Swiętochowskiego.

Wybrnąwszy z powodu tych okropnych lub tłustych anegdot, w których przede wszystkiem autor kładzie nacisk na to że *rozmaite rodzaje zabójstwa były i są praktykowane* jako rzecz godziwa i chwalebna, dobijamy nareszcie, z wielką ciekawością, do wniosków autora i jego pomysłów, mających stanowić, według własnych słów jego, epokę w filozofii. Otóż, ku wielkiemu zdziwieniu i rozczarowaniu czytelnika, szczuplutkie te wnioski i reformatorskie pomysły redukują się do tego jednego, że *powszechnych* praw moralnych nie ma; oprócz jednego tylko, a mianowicie *wzbraniającego odbierać życie istotom podobnym*. Ażeby przekonać czytelników, że nie popełniłem omyłki, pisząc te słowa, powtarzam raz jeszcze wyraźniej, że p. Swiętochowski, zapełniwszy większą część swej książki faktami: dowodzącemi że *zabójstwo było często i dziś jeszcze u wielu ludów uważa się za godziwe*, dochodzi do ostatecznego wniosku, że *jedyne powszechne* prawo moralne jest *zakaz zabijania*.

Kto nie wierzy (a prawda że to niemal do nieuwierzenia) niech zajrzy do książki. Tak tedy, według przysłowia, „góra zrodziła mysz" i autor zażartował z czytelników, a raczej z samego siebie. Smutna to rzecz doprawdy, że podobne nędzoty mogą jeszcze pojawiać się u nas w druku. Do tego język książki skażony rusycyzmami i błędami gramatycznemi, styl ciemny i zawiły. Papier i druk liche, i za to wszystko żądają aż 1 rub. 50 kop! Trąbiono o tem „dziele" jeszcze przed jego wyjściem, ogłaszano prenumeratę, autor w *pewnem* piśmie osmagał w sposób spółpracownikom owego pisma właściwy wszystkich swoich nieprzychylnych krytyków, a nie zaniedbując niczego dla zapewnienia książce odbytu a sobie nieśmiertelności. dał książce jakąś niezwykłą dwukolorową okładkę, na której nie omieszkał wymienić wszystkie swoje „dzieła," a nawet (pomysł to nowy) swoje *artykuły* w tem samem wymienionem piśmie (którego nazwy przyjęto unikać) wydrukowane!...

(d. n.)

Nowe wydawnictwa.

Błogosławieństwo na drogę życia napisał T. J. Rola. Jest to zbiór rad, wskazówek zaczerpniętych z Pisma Ś. z doświadczenia i mądrości ojców narodu, z natchnionych pieśni wieszczów i zdań myślicieli naszych. Ułożone jako przewodnik dla młodzieży jak się ma zachowywać za domem, w szkole lub warsztacie, stanowić może wielką pomoc przy wykładzie nauki moralności tak dla Matek jak Nauczycielek lub Nauczycieli. Praca ta nie jest tego rodzaju, aby się dała jednym tchem odczytać, a nawet tak pobieżnie przejrzana nie przyniesie żadnego pożytku. Spożytkowana częściowo, objaśniona w każdym ustępie, powtarzana swemi słowy przez uczących się, z pewnością okaże się nader korzystną i w pamięci ich na zawsze pozostanie. Cena kop. 40.

Baśnie i podania ludu polskiego. K. Wł. Wójcickiego z przeznaczeniem dla grzecznych dzieci jako biblioteczka obrazkowa. Nakład F. Hösicka w Warszawie. Pierwszy jej początek stanowi Pan Twardowski, bo w serdecznej przemowie powiada Autor, że według przypowieści Andrzeja Maks. Fredry z wie. XVII cudze rzeczy wiedzieć ciekawość jest, a swoje potrzeba. Swoje też te rzeczy Autor opowiada z wielkiem zaciekawieniem a ryciny duże kolorowe przygotowane przez p. Wła. Szymanowskiego, wielce się przyczyniają do ozdoby wydawnictwa tego bardzo starannego.

Pod Obuchem w dwóch tomach. Powieść napisana przez T. T. Jeża. Nakład Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie. Rzecz dotycząca domowego życia Galicyan, czyta się z wielkiem zajęciem: osoby w niej przedstawione pełne są życia, żałować tylko należy, że Autor nie wyczerpał myśli przez siebie ułożonej. Kończąc czytanie czuje się jakby brak czegoś, jakby żal że jeszcze nie ma tomu trzeciego, co uważać należy za wielką zaletę całej publikacyi. Pracy tej jednak zarzucić można, straszną niechęć do stanu tak zwanego szlacheckiego. Być może że w Galicyi zasługuje na to, ale nie należy potępiać stan tylko wady społeczne bez względu na stanowiska ludzkie. Autor zaś widocznie poniewiera całą szlachtę galicyjską: czy to sprawiedliwie?

Drugim zarzutem, jest pogarda dla biednych robotników przy budowie kolei, jakby ciężko pracujący był już nie człowiekiem ale bestyą niegodną nawet szubienicy. Autor jednak z tego pogardzonego motłochu wydobywa jednego ze swych bohaterów i wynosi go nietylko nad gmin ale nawet nad osoby w powieści za jaśnie wielmożne przedstawione. Sprzeczność rażąca. Autor widocznie zapomniał, że milionowy ten motłoch, a raczej zgraja dzikich bestyi jak go przedstawia, przez całą inteligencyą stanowiącą przy nim garsteczkę nic nieznaczącą, i tak jest opacznie widziany i sądzony: czyż więc należy oliwy dolewać do ognia? Jeżeli składają go ludzie, to pod całą skorupą wstrętnego zaniedbania, muszą kryć się wszystkie uczucia ludzkie: pokazać je właśnie należy do piszącego. Jeżeli zaś ten motłoch złożony jest li z dzikich tylko bestyi; po co rozwodzić się nad potrzebą dla niego oświaty, książek, szkółek, i t. p. Czyż na korzyść wilków znanych rabusiów rozwodzimy podobne tyrady?

Siostra mojej żony obrazek z życia wiejskiego naszkicował Autor Kłopotów starego komendanta. Nakład Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie. Jest to rzeczywiście obrazek z życia wiejskiego napisany z taką prawdą i wybornym humorem, że się od czytania trudno oderwać. Więcej o publikacyi tej nie mamy co dodać. Humor zaleta to wielka, Autor rzecz przedstawia jak jest, w morały się nie wdaje, a śmiejąc się mimowoli reflekcya nasuwa się do myśli.

Pierwsza miłość powieść przez F. Jeske. Choińskiego nakładem Kornela Pillera we Lwowie.

O pracy tej młodego Autora później powiemy obszernie. Zasługuje na to pod dwoma względami, że wyszła z pod pióra młodego pisarza wiele bardzo obiecującego, i że pierwsza miłość za treść użyta, widocznie jest mu obcą i tym sposobem fałszywie zobrazowaną. Opowiadanie jednak jest barwne, pełne życia, bawi i zajmuje zarazem. Być może że w dzisiejszej przewadze materyalizmu, miłość pierwsza jest taką jak ją Autor przedstawił, ale w takim razie dlaczegóż ją nazwał miłością a nie ocknięciem się prawa utrzymania się życia na ziemi, któremu wszyscy podlegamy? Kilka jaskrawych scen aż zanadto rzeczywistych, usprawiedliwiają to przypuszczenie: wielka szkoda że je Autor nie wykreślił ze swego rękopismu. Dotąd szczegóły podobne zostawiano w cieniu, Autor zdaje się że pierwszy wprowadził je do naszej literatury powieściowej. Zasługa niebardzo pochlebna.

Ogłoszenie.

ZAKŁAD

FRYZYERSKO-PERUKARSKI

Jana Kalinowskiego,

Ulica Marszałkowska N. 61

w WARSZAWIE.

Poleca się z wszelkiemi wyrobami fryzyerskiemi w wielkim wyborze, posiada znaczny zapas włosów w różnych kolorach, przyjmuje zamówienia na wszelkie wyroby tak z włosów własnych jak i z dostarczonych sobie, wykonywając takowe ze specyalną znajomością sztuki fryzyerskiej. Uskutecznia czesanie Dam tak w zakładzie jak również przyjmuje zamówienia; słowem może czynić zadosyć wymaganiom Szanownej publiczności, przy cenach umiarkowanych. Zamówienia z Prowincyi lub Cesarstwa nadsyłane, najakuratniej są uskuteczniane w krótkim czasie.

3 — 6

Helena Dąbrowska

przedstawia Guwernantki i Guwernerów tak cudzoziemców jak i krajowego pochodzenia. **Adres:** *Pani Helena Dąbrowska, w Warszawie, Krakowskie Przedmieście* **Nr. 71**, *wprost wystawy obrazów Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych.* Imię *Helena* należy zawsze wypisywać.

Przyjaciela Dzieci Nr. 49 wyszedł z druku i zawiera:

Pogadanki z Ojcem (z drzeworytami). — Piętnastoletni kapitan. — Zatarg Władysława Łokietka. w Dodatku: Wylew Dunajca (z drzeworytem). — Mazgaj (wiersz). — Przygody Zygmusia. — Żaby i pszczoła (bajka). — Elinka.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Chmielna Nr. 1530 (nowy 20).*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 21 Ноября 1878 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Opis do N. 48.

(Dokończenie).

N. 7. Szlak do portjer, serwet lub t. p. Haft kolorowy na suknie.

Materyał: Sukno białe i szafirowe, włóczka angielska czerwono bronzowa i dwa cienie szafirowej; jasno niebieska, jasno bronzowa, ponsowa, oliwkowa, czarna i biała włóczka „crevel.“

Gatunek sukna włochatego, które nigdy nie ma zupełnie czystych kolorów, używany bywa do tego rodzaju haftów, robionych kolorami blademi, nie dającemi się ściśle oznaczyć, które jednak umiejętnie i harmonijnie dobrane, stanowią całość ładną i modną Tło serwety z sukna granatowego, szlak zaś robiony na suknie białem, tylko z brzegu wązki szlaczek haftowany na suknie granatowem. Zeszycie pokrywały podwójne linie włóczki angielskiej jasno i ciemno bronzowej, przeszywanej w równych odstępach, poprzecznemi, niebieskiemi ściegami. Takaż linia dana w małym odstępie na tle białem, jest z włóczki szafirowej, przeszywanej ściegami ponsowemi, zaś potrójna linia łańcuszkowa krzyżująca się w odstępach z takąż linią górną, ma brzegi niebieskie a środek czarny. Jak widzimy deseń po większej części robiony jest ściegiem łańcuszkowym; niektóre tylko części robi się ściegiem płaskim, włóczką „crevel“ z obwódką łańcuszkową. Dwuramienne figury nad skrzyżowaniem linii są czerwonawo bronzowe z jasno bronzową obwódką, środkowe fi-

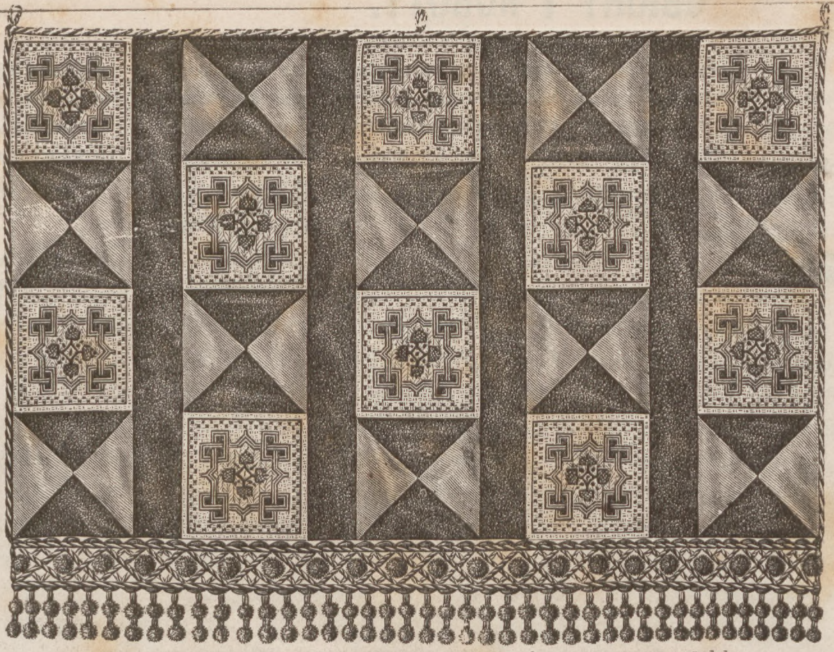


N. 1. Suknia z vêtement. Plecy do ryc. 2. N. 3. Suknia biała muślinowa na kolorowej jedwabnej. Patrz ryc. 4. N. 2. Suknia z vêtement. Przód do ryc. 1. N. 4. Suknia biała muślinowa. Patrz ryc. 3. N. 5. Ubranie małej dziewczynki.

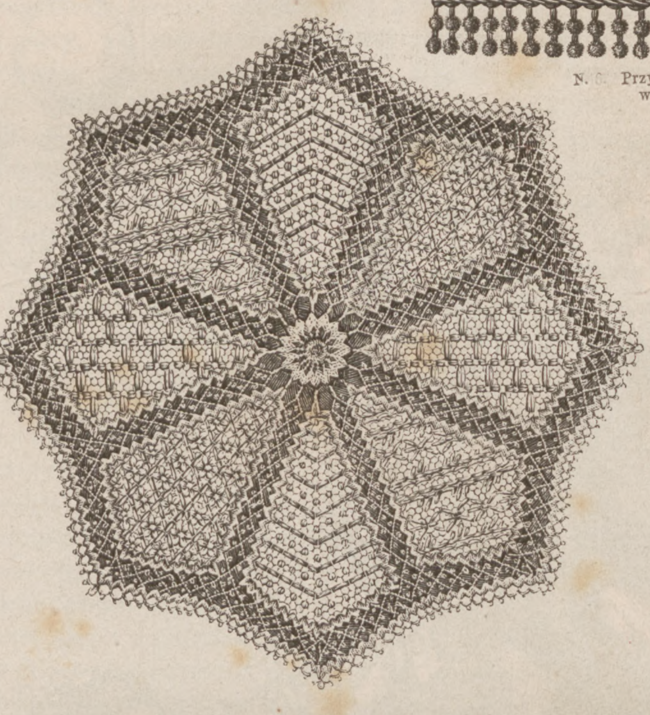


N. 8. Ścieg pleciony do ryc. 7.

gury są oliwkowe z obwódką ponsową i jasno bronzowe z obwódką szafirową, w innych do środka ponsowego dawać obwódki oliwkowe, do niebieskiego słomkowe, do białego obwódki niebieskie, do czarnego ponsowe i t. p. W wązkim szlaczku na tle ciemnem figury z potrójną obwódką są ponsowe z brzegami białemi, sześciokąty w dwóch cieniach oliwkowych z obwódką ponsową lub jasno popielatą.



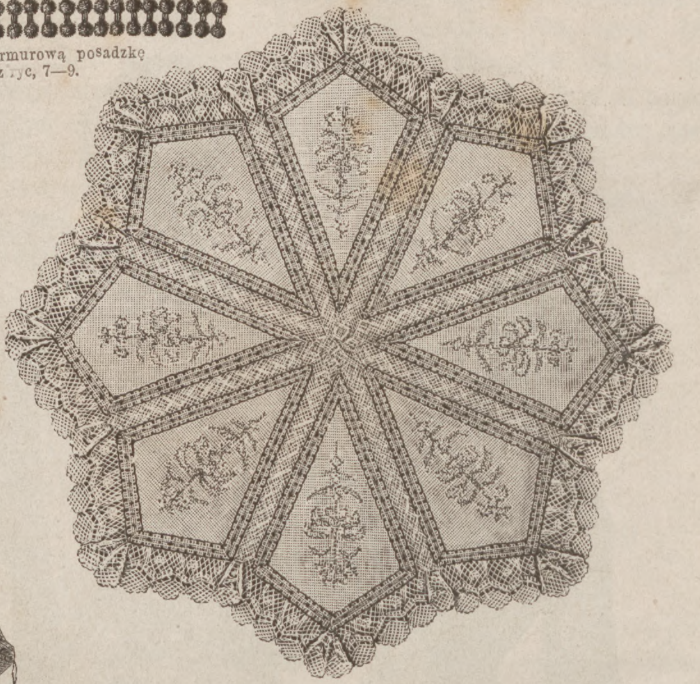
N. 6. Przykrycie do okna. Mozajka przypominająca marmurową posadzkę w kościele San Severino w Neapolu, Patrz ryc, 7—9.



N. 10. Serwetka tiulowa. Patrz ryc. 11—12.



N. 14 Woreczek na drobiazgi, dolna połowa z szarego płótna ozdobiona wyszyciem podług r. 8 w N. 48, górna część z ponsowego kaszmiru, sznury i kwasty wełniane.



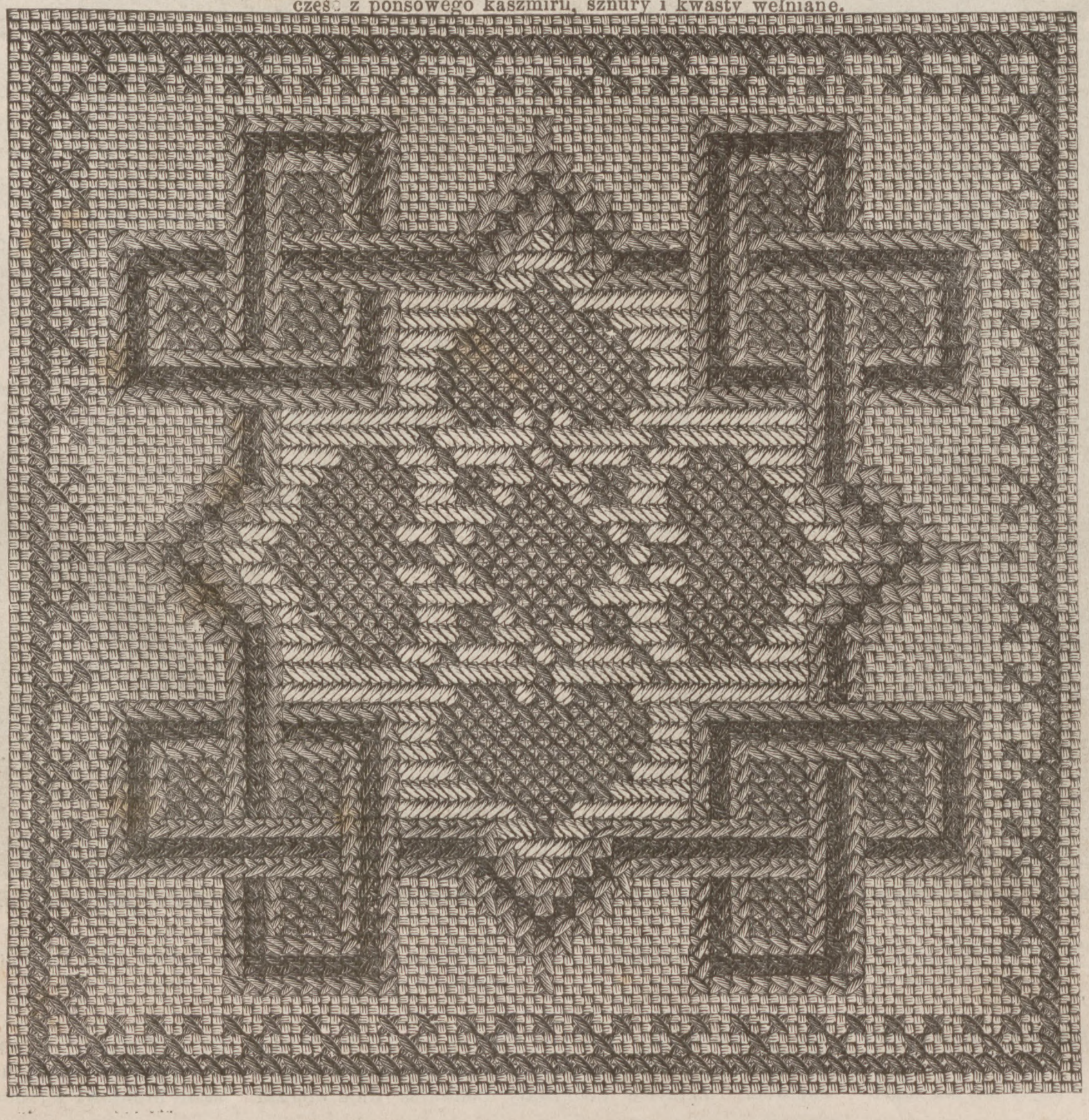
N. 13. Serwetka z wiedeńskiego gazowego płótna z wyszyciem krzyżykowem.

N. 9. Stanik pod suknię, robiony szydełkiem. Szlaczek na ryc. 15 w N. 49.

Materyał: na tło miękka wełna biała, na szlaczek różowa lub ponsowa. Robotę zaczyna się od dołu, od małej baskiny na ocz. 160 — 180, stosownie do figury; dalej podług formy z papieru gubi się stopniowo w pieciu dalszych rzędach, (przy przerabianiu od ręki lewej do prawej) na wcięcie w pasie w każdym rzędzie o. 6, z których 2 z przodów, 2 z boków a 2 przy pleckach. Potem obrobić raz gładko, w następnym gubić, znów raz gładko i jeszcze raz gubić, zawsze nad temi samemi oczkami. Szesnaście rzędów zrobić gładko, w 17-tym zacząć przybieranie w piersiach 11 o. od brzegów przodów i później pod pachami na rozszerzenie pleców. To przybieranie w piersiach powtarza się raz w odstępie 3 rzęd. 5 razy w odstępie dwóch rzędów i jeszcze raz w odstepie trzech 3 rzędów, a więc wszystkiego 8 razy; przy plecach pierwszy raz przybrać przy drugiem przybraniu w piersiach, drugi w odstępie dwóch rzędów, 3 razy w odstępie jednego rzędu i raz znów w odstępie 2 rzędow, a więc wszystkiego razy sześć. Po zrobieniu 44 rzędów dolnych zaczyna się otwór pachy, przyczem każden przód i plecy robią się oddzielnie. Dla wykończenia prawej połowy przodu, w rzędzie 45 przerabia się tylko 46 o., a w następujących dwóch rzędach nie dorabia się po jednem o. od końca, dalsze 7 rzędów robi się równo, w rzędzie ósmym dodaje się na końcu 2 nowe oczka, a w 6-u dalszych po jednem o., poczem wykrój pachy jest skończony i pozostaje tylko do podrobienia skośny brzeg ramienia i podkrój szyi. Na ramie obrabia się raz do brzega, a w pięciu następujących pozostawia się po 1 o. od końca; poprzednio jednak przed wykończeniem ramienia, potrzeba w 56 rzędzie zacząć podkrój szyi na których pozostawia się 6 razy po 3 o. od początku rzędów, 4 razy po 2 o., raz 1 o. i raz 3 o. Te rzędy muszą być zawsze zaczynane nową nitką. Drugą połowę przodu robi się w odwrotnym porządku. Dziurki do zapinania zaczyna się w czwartym rzędzie i daje w jednej połowie co pięć rzędów. Przy zaczęciu pachy w plecach zostawia się od prawego brzegu 4 oczka od lewego zaś czterech niedorabia, w dal-



N. 9. Ścieg krzyżowany do ryc. 7.



N. 7. Kwadrat wyszyty na kanwie Jawa. Do ryc. 6.



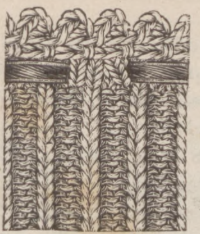
N. 11. Wywodzenie na tiulu, do ryc. 10.



N. 12. Wywodzenie na tiulu do ryc. 10.



N. 15. Zakończenie brzeżne do ryc. 9 w N-rze 48.



N. 16. Tło i ząbki do ryc. 17.

szych dziesięciu rzędach dodaje się z obydwóch brzegów po 1 o., rząd 11 zrobić równo, w 12 dodać po 1 o., 13 równo. W ostatnich 4-ch rzędach ramiona zwężają się o 1 oko, podkrój zaś szyi robi się w pięciu rzędach końcowych, które od każdej połowy pleców są robione oddzielnie. W pierwszym rzędzie pozostawia się po 7 ocz. do środka w drugim 3, w trzecim 4, a w czwartym i piątym po 3. Gdy plecki są skończone spaja się ramiona z lewej strony, obrabia brzeg górny i dolny ścisłemi o., daje w górze drabinkę ze słupków do przewleczenia wstążeczki a nakoniec dodaje się z włóczki różowej ząbki podane na ryc. 15 w N-rze 49. Rękawki krótkie zaczyna się na o. 54 od dołu i robi równo 11 rzędów następnie na zaokrąglenie górne w 7-iu rzędach pozostawia się od brzegów po 3 o., a w 8-mym po dwa. Wszędzie jednak podaną liczbę oczek wypada zmniejszać lub powiększać podług objętości figury.



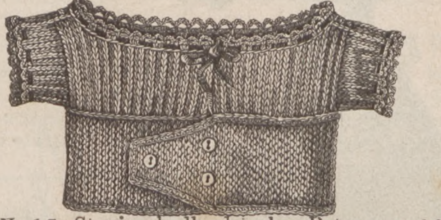
N. 18. Zarzutka na głowę, robiona szydełkiem. Patrz ryc. 19.

N. 10. Spódniczka krótka flanelowa, ozdobiona haftem krzyżykowym.

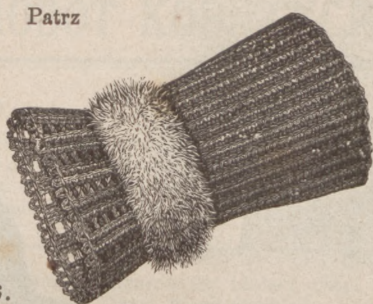
Ryc. 10 przedstawia wązką spódniczkę z białej miękkiej flanelki, ozdobioną szlakiem wyszytym ściegiem krzyżykowym, filozelą lub włóczką białą na pasie flaneli szafirowej; oddzielne gałązki na tle białem robione były filozelą szafirową. Pod dziergane ząbki od dołu, podszyta była szeroka koronka nciana. W górze bryt przedni podszywa się listewką płócienną, a kliny i bryt tylny wszywa się w wązki pasek, w który nawlóczy się tasiemki do przymarszczania podług figury.



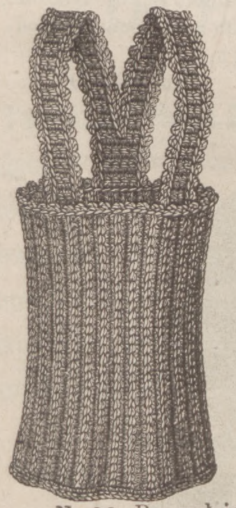
N. 25. Mankiet robiony na drutach. Patrz ryc. 26.



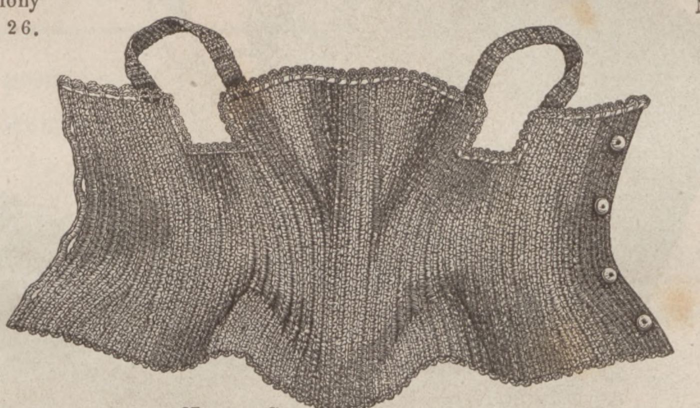
N. 17. Staniczek dla dziecka. Patrz ryc. 16.



N. 27. Mankietek robiony szydełkiem. Patrz ryc. 28.



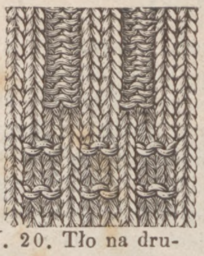
N. 23. Pas wełniany dla dziecka, robiony szydełkiem.



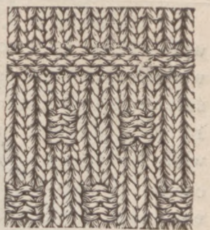
N. 24. Gorset robiony szydełkiem.

N. 11—12. Spódniczka krótka pod balowe ubranie; robota szydełkowa i na drutach.

Górną część miękkiej, ciepłej i gładko przystającej spódniczki, robi się na drutach bardzo luźno, z białej gobelinowej włóczki, a część środkową i dolną szydełkiem, dwoma rodzajami ściegu. Część górną zaczyna się na grubych drutach od dołu na o. 300 i robi tam i napowrót, zawsze 1 o. gł drugie kręto, razy 44. Dalej pasek robić tym samym sposobem lecz na drutach cieńszych i w 1-szem obrobieniu zrabia się ciągle po dwa o. razem. Dziurkę do zapinania daje się między 9 i 10 obrobieniem, a po 17, zakończa się pasek; potem brzegi boczne spódniczki zakłada się 3—4 cent. jeden na drugi, zaszywa razem na parę cent. długości i zaczyna się przyrabiać część środkową szydełkiem, dając ciągle na przemian 2 słupki przedzielane 2 o. pow. W 1-szym rzędzie słupki biorą się w 2 o. zaczęcia spódnicy a 2 się opuszcza, w następnych słupki wypadają nad o. pow. Po 19—20 takich rzędach, zmienia się rodzaj ściegu na wskazany na próbce 12 albo 13, które po otrzymaniu potrzebnej długości zakończają się wskazanemi ząbkami. Na ryc. 12, 4-ry słupki przedzielane są 2 o. powietrznemi, a brane za o. pow. poprzedzającego rzędu. Na ryc. 13 daje się naprzemian 2 o. pow. i 3 sł. złączone w górze 1-ną pentelką; w następującym rzędzie sł. brzeżne biorą się w środkowe z 3 powietrznych, a słupki środkowe w węzeł sł. poprzedzających.



N. 20. Tło na drutach do górnej części kamasza r. 22.



N. 21. Tło na drutach do dolnej części kamasza ryc. 22.

N. 16—17. Patarafka pod lampę. Ścieg płaski i stębnowany.

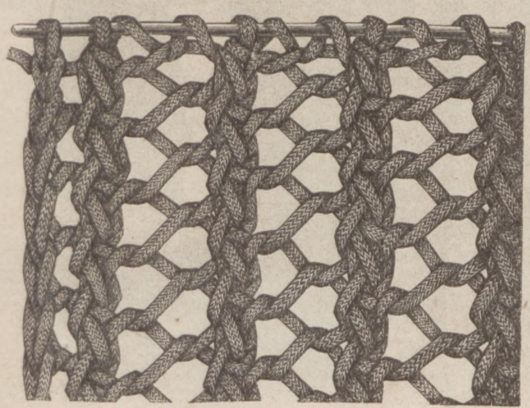
Model patarafki robiony cienką filozelą do cieniu na suknie perłowego koloru, miał 29 cent. średnicy; ściegi płaskie o ile można dawane przez całą długość cieniu, przeszywane były następnie w równych odstępach, równą poprzeczną stębnówką. W środkowej rozecie większe figury są lila do cieniu, ze stębnówką oliwkową, mniejsze różowe ze stębnówką niebieskawo zieloną, małe muszki i sznurek są bronzowe. W szlaku duże liście są niebieskie do cieniu z żyłkami czarnemi, robionemi ściegiem sznureczkowym, a gałązki i kielich oliwkowy, wchodzące w nich arabeski są koloru łososiowego a okrągłe kwiaty karmazynowe do cieniu, przestębnowane kolorem perłowym; w drobnych listkach czyli palemkach użyte są kolory niebieskawo zielone i bronzowe. Kwaściki frendzelki 3 cent. szerokiej, są naprzemian wszystkich kolorów haftu.



N. 22. Kamasz dla dziecka robiony na drutach. Patrz r. 20—21.

N. 18. Chusteczka z boku zapinana.

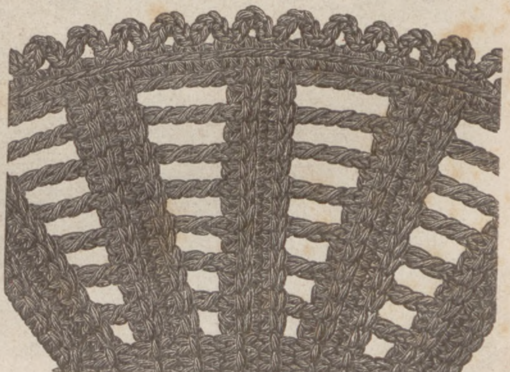
Fason chusteczki stanowi skośny pas muślinu, 68 cent. długi, w środku 5, przy le-



N. 26. Tło z wąziutkiej plecioneczki robione na drutach do ryc. 25.



N. 19. Tło i szlak do zarzutki ryc. 18.



N. 28. Szlak szydełkowy do ryc. 27.

wym końcu do 8 cent. rozszerzony a przy prawym na wierzch zachodzącym do 25 cent. od środka także skośnie do 8 cent rozszerzony, dalej przy średnim brzegu na 13 cent. długości prosto ścięty, z drugiego boku cokolwiek zaokrąglony, u dołu prosto 6 cent. szeroko zakończony. W środku muślin zaszywa się skośnie do góry, następnie z wierzchu naszywa się w sposób na ryc. 18 wskazany, pliski z cienkiego muślinu 2—3 cent.; i wstawki koronkowe 2 cent. szerokie, z pod których wycina się podszewkę; przyszycie plisek pokrywa koronka 1 ½ cent szeroka, a brzegi i wykrój szyi koronką 4 cent. szeroką.



N. 29. Kapotka biała filcowa zdobna repsową wstążką dla dziewczynki.

N. 30. Czapeczka futrzana dla chłopczyka.



N. 30. Uczesanie dla młodej panienki. Włosy związane do tyłu, zwinięte w węzeł i przepięte strzałą lawową lub złotą.



N. 33. Kołnierz i ranwersy koronkowe.



N. 32. Uczesanie dla młodej panienki.



N. 34. Stanik z paskiem do sukni ryc. 4 w N-rze 48



N. 35. Suknia z materyi gładkiej i adamaszkowej.

N. 19 i 24. Chusteczka z przerzuconemi końcami.

Chusteczkę stanowi skośny, 150 cent. długi a 15 c. szeroki kawałek muślinu, któren w końcach ścina się śpiczasto i oszywa w koło koronką plisowaną lub tiulem wywodzonym, 6 cent. szerokim, którego próbkę dajemy na ryc. 24. Następnie chusteczkę składa się we dwoje, a końce przerzuca i zapina kwiatkiem lub kokardą

N. 20—22. Princesse z trenem wstawionym i z paletocikiem. Krój podług ryc. 34—35 w N. 47.

Na ryc. 22 podajemy zmniejszony rysunek kroju i miary sukni ze wstawionym trenem, której model odrobiony był z czarnego jedwabnego repsu. Jak to widzimy na ryc. 21 plecy ozdobione są fałdami podłużnemi na które trzeba dodać materyi w krajaniu: część *c* oznacza połowę wstawionego trenu, w górze w drobne fałdy ułożonego a u dołu rozchodzącego się wachlarzowo. Wyszycie trenu przykrywa riusza z materyi 8 cent. szeroka. Na części *d* podamy połowę bryta prostego, któren ułożony poprzecznie w dwie potrójne kontrafałdy, mające 29 cent. szerokości, upięty jest na sukni w sposób na ryc. 20 wskazany, a z tyłu schodzi się pod węzłem i kokardą, od których spuszczona jest na bok szeroka szarfa, mająca 58 cent. długosci, oszyta u dołu frendzlą 17 cent. szeroką. Dwie 11 cent. szerokie, plisowane falbany w górze riuszą zakończone, naszyte są u dołu sukni tylko do trenu. Ładne rękawy do sukni podajemy oddzielnie na ryc. 14 i 15.

(dok. nast.)